NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**
Prenumeratę przyjmuje W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 507—23, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi. — Ceny ogłoszeń na Królestwo Polskie: za wiersz jednoszpaltowy pod tekstem 50 kop. — na ostatniej stronie i w miejscu specyalnie zastrzeżonem 15 kop. — ogłoszenia zwykłe 10 kop.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. Kraków, 19 września 1914. Nr. 38.

Okropności współczesnej wojny.



Spalona wieś ruska na granicy galicyjskiej.

Poświęcenie sztandaru Legionu.

Wojskową świątynię św. Piotra przy ul. Grodzkiej wypełnili w ubiegłą niedzielę legioniści, celem wzięcia udziału w uroczystości poświęcenia sztandaru, ofiarowanego przez panie krakowskie pierwszemu batalionowi. Po solennem nabożeństwie wygłosił ksiądz Janicki piękne kazanie patryotyczne, które zakończył błogosławieństwem, życząc im zwycięstwa.

Sztandar legionistów jest bardzo ładny, bogato haftowany przez ofiarodawczynie; z jednej strony zdobi go na białem tle obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, a po drugiej biały orzeł polski z podpisem: „Jeszcze Polska nie zginęła". Po nabożeństwie poświęcił sztandar ks. kapelan Tomaszkiewicz, poczem legioniści przedefilowali przed lokalem Komitetu Narodowego przy ul. Poselskiej, a stamtąd udali się do komendy placu. Tu dopiero na podwórku oddano sztandar do rąk jednego z oficerów Legionu, który go przyjął w imieniu komendy.

Niemcy w Belgii.

Na sympatyach dla trójporozumienia najgorzej wyszła Belgia. Ufna w pomoc Francyi i Anglii, które obiecały nie opuścić jej w nieszczęściu, odmówiła pozwolenia na przemarsz wojsk niemieckich przez swe terytoryum, choć Berlin zapewnił jej w danym wypadku nietykalność granic i nawet odszkodowanie po ukończeniu wojny.

Wobec tego rozpoczęto obustronne kroki nieprzyjacielskie. Wojska belgijskie, aczkolwiek ożywione najlepszym duchem, pobite zostały na głowę, a tamtejsze twierdze jedna po drugiej wpadały w ręce zwycięzców. Obecnie operacye niemieckie są w tem stadyum, iż właściwie tylko Antwerpia opiera się, choć zdaje się, bezskutecznie. Nie pomoże jej nawet projektowane zalanie wodą całego sąsiedniego terenu, by przeszkodzić zwycięskiemu pochodowi armii cesarza Wilhelma.

Droga, którą posuwali się Niemcy ku granicy Francyi, to dziś szereg zgliszcz. Czego nie zniszczyły pociski armatnie, strawił ogień, część bowiem miejscowości, których ludność cywilna zaatakowała wojska niemieckie i zachowała się wobec nich nieraz w bardzo niekulturalny sposób, skazaną została na zniszczenie.

Według zapewnienia pism niemieckich, Niemcy, tam gdzie ich nie atakowano, zachowywali się wobec ludności miejscowej bardzo lojalnie, repressalia stosowano tylko tam, gdzie tego była konieczna potrzeba, to jest w okolicach, w których rozwielmożniło się franctireurstwo.

Jaki los czeka Belgię w przyszłości, tego dziś powiedzieć nie można, tak samo jak nie wiemy, jaki będzie ostateczny wynik obecnej wojny światowej. Na razie przecież wielki szmat belgijskiego terytoryum znajduje się w rękach niemieckich, a jeneral-



Okropności współczesnej wojny: Kalisz po zbombardowaniu.



Poświęcenie sztandaru Legionu: Legioniści opuszczają kościół św. Piotra po nabożeństwie.

nym gubernatorem zajętej części zamianowany został marszałek polny von der Goltz.

W każdym razie, czy przyszły kongres pokojowy powróci zajęte prowincye Belgii, czy też pozostawi je Niemcom, dużo czasu upłynie nim powetuje się szkody, jakie w tej nader przemysłowej i bardzo gęsto zaludnionej części kraju obecna wojna wyrządziła.



Poświęcenie sztandaru Legionu: Przed nabożeństwem w kościele św. Piotra w Krakowie.

Wymarsz legionistów.

Przygotowawcza praca w formacyi Legionu skończyła się już, obecnie zorganizowane kadry licznych batalionów po odbytych ćwiczeniach wyruszają do miejsc przeznaczenia, ustalonych przez komendę, do obozów, gdzie zaczyna się już właściwa służba wojskowa. Wyćwiczeni i wyekwipowani legioniści ściągają z dotychczasowych kwater prowincyonalnych i wcielani są do pułków. Nieustający werbunek dostarcza świeżego materyału, a nowi ochotnicy udają się na pola ćwiczeń do obozów. Z oddziałów partyzantów przeobraża się Legion w skonsolidowaną jednostkę armii, o określonem stanowisku i zabezpieczonym losie. Pułki liniowe mają swą odrębną intendanturę, lazarety i wogóle wszelkie zaopatrzenie regularnych wojsk. W biurach komendy wre też praca nieustannie nad przygotowaniem zupełnem Legionu pod każdym względem, a zapał i ochota pracowników, wspomagane przez umiejętne kierownictwo, dają nadzieję ukończenia niebawem wszystkich oddziałów zajęć i wyruszenia w pole całego Legionu. Ofiarność publiczna zasila skarb Legionu, który ma przed sobą olbrzymie wydatki, bo przy powstającej instytucyi wszystko trzeba sporządzać. Obecnie mają już komendanci i inne wyższe władze Legionu stałe pensye obok zapewnienia utrzymania, jak wszyscy zresztą żołnierze, pobierający żołd, przyznawany żołnierzom armii austryackiej. Zorganizowani też już ostatecznie legioniści tem niecierpliwiej oczekują chwili wymarszu, by spełnić swój cel, który ściągnął ich pod znaki Legionu.



Poświęcenie sztandaru Legionu: Sztandar i jego fundatorki.





Warta przed królewskim teatrem w Liege. **Niemcy w Belgii:** Ulica w Liege po wkroczeniu Niemców.



Okropności współczesnej wojny: Zbombardowane miasto Wise w Belgii.



Niemcy w Belgii: Jen. Goltz, gubernator Belgii.



Poświęcenie sztandaru Legionu: Uroczyste nabożeństwo w Kościele św. Piotra w Krakowie.

Artur Gruszecki.

Po ślubie.

13

Naturalnie, towarzysze stołu, jak przystało na ludzi poważnych i żyjących z rachunkiem, jakiś czas milczeli i wszyscy mieli miny zamyślone, wreszcie rzekł Blum;

— Taka traktyernia, jeśli niema konkurencyi i spodoba się, może coś nie coś przynieść, ale zawsze to ryzyko.

Winecki, Orszycki i Merczak zazdrościli Szabelskiemu w głębi duszy, że posiada tak pomysłową żonę, ale rzecz oczywista, nie chcieli dać tego poznać i Winecki rzekł:

— Ja nie puszczałbym się na takie przedsiębiorstwo, albo się jedzie na wypoczynek, albo na interes. Kobieta przyjedzie zmęczona, spracowana, kwękająca i co to za pociecha?

Orszycki i Merczak przytakiwali tym słowom głowami, Szabelski zaś z miną wyrozumiałą odpowiedział:

— To samo, kubek w kubek mówiłem Natalci, nie jestem Herodem, ażebym się znęcał, i czego Bóg zachowaj, sprowadził chorobę na żonę, ale ona mi powiedziała na to: mój Ferdziu, nie wielka historya rozporządzić kucharce, co ma być na obiad i kolacyę, od tego ani schudnę, ani zmizernieję, a przez to zajęcie uniknę nudów i pustych zabaw, które mnie nudzą, gdy ciebie niema. Cóż miałem zrobić, — rozłożył ręce, — zgodziłem się, i każdy z was na mem miejscu zrobiłby to samo.

— No, tak! — zaczął Merczak, — z punktu filozofii i wyższej polityki, restauracye są potrzebne, bo gdzieżby jedli głodni ludzie, którzy żon nie mają? Jednak restauracya jako fach nie jest przyjemna, zawsze w kuchni prażyć, smażyć, fetory rozmaite, no i kaprysy publiczności.

— Przecież Natalcia i tak zajmuje się kuchnią, a czy na pięć czy na dziewięć osób gotować, to już wszystko jedno, — uśmiechnął się Szabelski, — zresztą surowo zabroniłem, ażeby więcej jak dziewięć osób nie stołowała, bo dochód i tak będzie znaczny.

— Czy jednak radca zwrócił na jedną okoliczność uwagę? — rzekł Orszycki z powagą, — jest to, że się tak wyrażę, sprawa bardzo delikatna i czuła.

— No, no, i jaka? — zaniepokoił się Szabelski.

— Jeszcze raz powtarzam, — przekonywał Orszycki, — że sprawa delikatna, jak stryszek w kaligrafii, jak ćwierćton w moim fachu, i nie wiem czy mówić o tem?

— Wydusże raz radca, bez tych porównań z twoją litografią! — zawołał zgorszony Blum.

— Zaraz prezesie! Otóż zadajmy sobie na pozór niewinne pytanie, kto się stołuje w takiej restauracyi?

— Już wiem! — zawołał uradowany Merczak.

— Znów mi pan przerywa, — powiedział z niesmakiem Orszycki, — i mogę zapomnieć.

— Już nie będę, panie radco! Słowo daję!

— Zapytałem wtedy, jeśli dobrze pomnę, kto się stołuje? Nie żonaty, bo temu żona jeść daje... Nie kobiety, bo one same dla siebie gotują... a więc kto? Niedowarzone młodziki, wartogłowy, rozpustniki, co to nie patrzą na talerz, ale na rękę co podaje, nie na półmisek, ale na gospodynię. Zje(ść) zjedzą, co tylko się poda, ale za'o każdy chce zapłaty od gospodyni... I to w tej restauracyi nie bardzo mi się podoba.

Szabelski słuchając tej przemowy, aż poczerwieniał i zaczął:

— Nareszcie skończył radca! Mówisz tak, bo nie znasz mojej żony. Ta kobieta surowa, cnotliwa, opoka względem młodych żółtodziobków. Powiadam radcy, jak ona tylko spojrzy, odechce się takiemu gagatkowi patrzeć na nią, a cóż dopiero stroić głupie miny. To przecież żona... matka... wie co winna sobie, mężowi i stanowisku swemu.

Orszycki widząc zapalczywość Szabelskiego, zmieszał się i rzekł niemal pokornie:

— Ja mówiłem tak sobie.. o innych kobietach, bo wiem, że pani radczyni ma inny styl i deseń.

— No, to co innego, — udobruchał się Szabelski, — bo widzisz radca, możesz mowić o mnie, nawet o moim interesie, a co innego Natalcia, ona, panie tego, ma główkę, o, ma!

— Obliczyła, że przy dziesięciu stołownikach, każdy płaci dziennie pięć koron, czyli dziennie pięćdziesiąt koron, ona odłoży na czysto trzydzieści koron, czyli przez dwa miesiące będziemy mieli zarobku netto: tysiąc osiemset koron.

— Hm... ładny grosz, — rzekł z uznaniem Blum, — a jakże z naczyniami? z nakryciem do stołu?

— Właśnie dziś chodziłem... część kupiłem, a część wypożyczyłem.

— Pięknie! — skinął Blum głową, — masz radco żonę rarytas! Pozazdrościć! A jakże będzie ze spaniem?

— Jakto? — zdziwił się Szabelski, — ona będzie przecież sama w swym pokoju.

— No, i ja tak myślę, ale w pensyonacie ludzie nocują, mieszkają, i co będzie?

— A, w tej sprawie już się rozmówiłem ze żoną. Wolno jej przyjmować na noc kobiety, panny, wdowy, mężatki bez mężów, a tylko w czasie mej bytności poważnych i statecznych panów.

— Więc wszystko jest w porządku, — mówił Blum, — i chwali się, że nasze kobiety zabierają się do interesów, mniej będzie czasu na romanse i różne zgorszenia, bo każda z nich, żeby i najcnotliwsza, lubi się stroić, zerkać oczyma, wabić uśmiechem, no, i przecież nie dla męża, bo dla niego ma stare spodniczysko i przydeptane pantofle, muska się dla innych, wszystko jedno, czy on żonaty, — spojrzał niby przypadkowo na Orszyckiego, — czy też on kawaler, — patrzał na Wineckiego i Szabelskiego i kończył picie bomby.

Wszystkich dotknęły niemile te spojrzenia i słowa Bluma, ale tylko Orszycki stanął w obronie kobiet i rzekł:

— Prezesowi, aby wygadywać na żony i kobiety, a przecież są między niemi zacne i uczciwe, jak to wiemy wszyscy.

— Ano, ślepy je zobaczy, a głuchy usłyszy, — zaśmiał się stary zjadliwie, — zaś wracając do rzeczy, skąd wie radca Szabelski, że w Grotowie gromadzą się ludzie bezdomni a przytem stateczni i poważni?

— Tak! Tak! To jest pytanie bardzo ważne, — zawołał Orszycki, — bo od tego zależy powodzenie pensyonatu.

— Moi panowie, — rzekł poważnie Szabelski podnosząc głowę do góry, — moja żona robi wszystko rozważnie i z rachunkiem. Najpierw zasięgnęła dokładnych informacyj z różnych stron o Grotowie, i bardzo poważna osoba, nazwiska zapomniałem, powiedziała, że w Grotowie kwitnie sport bardzo rozmaity.

— Co radca mówisz? Jaki? — zawołał Merczak.

— Sport turystyczny, taternicy... myśliwski, bo w lasach zwierzyny moc...

— I ja wiem o tem, — przerwał mu Winecki, — mam nawet zamiar tam zapolować, bo to jedyna moja rozrywka.

— Także sport rybołowczy bardzo rozwinięty. Rzeka i potoki górskie roją się od ryb i pstrągów.

— To moja specyalność, — uśmiechał się błogo i połknął ślinkę Orszycki, — bardzo lubię ryby i łowiłem karpie na wędkę. Nie uwierzycie, jakie były tłuste i wielkie, dosyć powiedzieć...

— Radco, proszę nie przeszkadzać, — zrobił uwagę Merczak, — tu idzie o sporty, które nas ze względu ogólnego stanu zdrowotności i hygieny ubrań interesują. Zatem była turystyka, to moja pasya; myśliwstwo dla pana budowniczego; rybołowstwo dla radcy i co więcej?

— W Grotowie są botanicy, co to zioła zbierają, — mówił z powagą Szabelski, — profesorowie, radcy, uczeni... Powiadam wam, sama śmietanka nietylko Krakowa, ale całego kraju.

Winecki słuchając tej przemowy promieniał, rósł w dumę i zawołał:

— A co? Słyszycie jaką wieś wybrałem!? Widzicie, jacy tam ludzie bywają? Kto tylko poważniejszy, stateczniejszy, jedzie do Grotowa, bo to panie wieś odcięta od świata, ani do niej dojechać, ani dojść i spokój panuje, odetchnąć można.

Wszyscy przyznali mu słuszność, a każdy miał to głębokie przeświadczenie, że tylko dzięki swej przenikliwości i doświadczeniu wybrał dla żony właśnie Grotów, a nie inną wieś.

— Skoro tak jest, jak mówi radca Szabelski i budowniczy, to powiem wam, co mi przyszło na myśl, — zaczął Blum i umilkł, kołysząc w bombie resztki piwa.

— Co, prezesie?... Mów prezesie!

— Dobrze to wierzyć kobiecie swojej, ale dobrze i nie wierzyć... Na waszem miejscu, gdy wieś tak ludna i odwiedzana, niespodziewanie zjechałbym do żony i Boże broń, ażeby ją śledzić, ale ażeby tak sobie, od niechcenia zwiedzić Grotów, góry, no i poznać się z ludźmi. Dla was, ludzi przedsiębiorczych, to jest interes mieć znajomość z ludźmi statecznymi i poważnymi. Można im podsunąć poważne interesa.

— No, tak, — rzekł z namysłem Winecki, — ale czy im się zechce rozmawiać na wsi o interesach?

— Hm... to zależy od wzięcia się do rzeczy, — uśmiechnął się Blum, — jak nagle narzucić komuś interes, przestraszy się i nie zechce gadać... ale na takiem, na ten przykład, polowaniu... albo przy łowieniu ryb... pogawędka o tem, o owem i interes gotów! Bo i kto domyśli się, że taki strzelec w lesie jest budowniczy? a znów jakiś radca z wydziału, albo z dyrekcyi akurat ma stawiać budynek urzędowy?

— Hm... to niezła myśl i warto się nad nią zastanowić, — zamyślił się głęboko Orszycki.

Szabelskiego, chociaż udawał pewnego siebie, opadły niepokoje. Kłuły go słowa Orszyckiego o umizgach młodzieży do gospodyni i wspomniał też, iż Natalcia przy jego zastrzeżeniach co do płci i wieku pensyonarzy powiedziała, co prawda żartobliwie, że pensyonarze to nie ulegałki i tak przebierać nie może, bo każdy pan za swoje pięć koron... No, i ten wyga Blum, zawsze wraca do swego, że trzeba dopilnować żony. Co prawda przyrzekł Natalci, że bez zawiadomienia nie zjedzie do Grotowa, ale może przecież z innymi zrobić jej niespodziankę, zwłaszcza, że można tam zrobić jakiś poważny interes.

— Wiecie panowie, — zaczął Szabelski, — prezes ma racyę, na kontrolę i śledzenie żon żaden z nas nie pojedzie, zresztą ubliżałoby to i nam, i naszym żonom... Co innego interes! Jeśli interes tego wymaga, idą na bok wszystkie względy... Otóż, gdy wymiarkujemy, że można tam zrobić dobry interes, jechać trzeba.

— Tak! Tak!... Racya! — powiedzieli z uznaniem.

— Pozwolę sobie jednak zwrócić uwagę panów na jeden, że tak powiem charakter wyjazdu, — rzekł Merczak.

— No, jaki? — spytał dumnie Szabelski.

— Otóż pan prezes wyraźnie radził, ażeby nikt z nas tylko dla zrobienia interesu nie przyjeżdżał do Grotowa, lecz wziął na siebie swój przyrodzony charakter, że tak powiem, swoją chęć intymną, to znaczy sobie tylko właściwą. Ja na ten przykład mam wewnętrzną inklinacyę do turystyki, a niestety przypadł na mnie los siedzący, — westchnął głęboko, — tak samo pan budowniczy ma feblik do strzelania...

— O, przepraszam! — zaprotestował gorąco Winecki, — u mnie myśliwstwo, to nie żaden feblik, to z przyrodzenia. I nie boję się spotkania z dzikiem lub niedźwiedziem, bo strzelam celnie, i kiedy służyłem w wojsku, otrzymałem akselbanty za celne strzały.

— Tem lepiej, panie budowniczy, tem lepiej, — uśmiechał się Merczak łagodnie, — właśnie o to idzie i o tem mówię... A pan radca, — zwrócił się do Orszyckiego, — na rybki ma oczko, co?

— Nie oczko, panie Merczak, tylko wędkę, bo nie słyszałem, ażeby kto oczkiem ryby łowił, — rzekł surowo Orszycki.

— Tem lepiej, a to oczko. to był, jak mówią literaci, paradoks, — uśmiechnął się w poczuciu swej wyższości, — no, a pan radca Szabelski do czego czuje najistotniejszy pociąg?

— On!? On do Natalci! — zaśmiał się Blum, a za nim inni.

Szabelski zmarszczył brwi, poprawił okulary i po przez nie spojrzał wzgardliwie na śmiejących się, wreszcie rzekł:

— Tak jest, moi panowie, nie wstyd mi wyznać głośno, że moją żonę wysoce cenię i szanuję za jej cnotliwość, gospodarność i pamięć o mężu... Powiedzcie tu, jak jesteście, która żona tak dba o męża, jak ona? Wiecie już, że mam psinę, badzo mądrą, ale kto mi ją dał? Oto moja żona... Będzie ci się nudzić Ferdziu bez nas, mówi do mnie, a wiem, żeś bardzo żałował, gdy Karuś zginął, postarałam się o nowego pieska, Mimusia, dla ciebie, będziesz się z nim bawił i przypomni ci nas, nieobecnych... No, i co?

— Sprytna kobieta, jak mi Bóg miły, — śmiał się Blum, — związała radcę psem, bo bez służby

samego w domu nie zostawisz, i gdzie się ruszysz, on z tobą.

— Hm... coś niewygody z psinką jest, ale ja psy lubię i on przyzwyczai się do mnie.

— A nie lubi radca kwiatów? — spytał Merczak.

— Co za pytanie!? — wzruszył Szabelski ramionami, — każdy lubi, więc i ja.

— A teraz ja coś powiem! — zawołał z powagą Merczak, — panowie, czem się różni najbardziej człowiek od zwierzęcia?

Panowie zastanawiali się przez chwilę, aż Orszycki nagle zawołał z lekceważeniem:

— Duszą!... Jak mnie uczono w katechizmie.

— Tak! Duszą! — powtórzył Merczak, — ale to różnica religijna, że tak powiem, wyznaniowa... ale najistotniej różni się człowiek od zwierzęcia ubraniem! Czy które zwierzę lub bydlę ubiera się? Żadne!... To fakt niewzruszony! Ubiór, panowie, to charakter człowieka, przez niego wyłazi i okazuje się dobry ton, smak, inteligencya. Jeśli człowiek chce się zaprezentować godnie, to tylko ubiorem.

— Ee, co tam ubiór, — skrzywił się Blum, — ja zawsze w surducie chodzę, i dobrze.

— Bo surdut maluje charakter prezesa i w tym wieku wystarcza, ale gdy mamy robić tam interesa, poznawać się z ludźmi, musimy mieć ubiór sezonowy!... Tylko hołota nie stosuje się do sezonu, ale każdy szanujący się człowiek musi dbać o sezonowe ubranie. Ja nie chcę zarobku, Boże uchowaj, nie chcę roboty, bo mam jej za dużo, ale pan budowniczy powinien mieć strój godny myśliwego. Pan radca Orszycki strój do rybołowstwa. Ja wystąpię jako turysta po górach... zaś pan radca Szabelski... może jako botanik?

— Nie! Nie chcę! Ja będę chodził jak w mieście i w niczem nie zmienię mych przyzwyczajeń, — rzekł z wielką mocą Szabelski.

— Radco! — upomniał go Blum, — to jest puste gadanie, czy w Grotowie pójdziesz do fabryki? do sklepu?

— To będę chodził sobie z Mimusiem to tu, to tam, ale nie będę żadnym botanikiem, — odrzekł z gniewem. — Czy z was kto słyszał, ażeby solidny kupiec i przemysłowiec był botanikiem? — kończył z oburzeniem.

— Pokpiłeś sprawę, panie Merczak, — powiedział zjadliwie Winecki, — takie propozycye rób młokosom, wartogłowom, ale nie porządnym i statecznym obywatelom.

— Ależ panowie! — zaczerwienił się Merczak, — to jest jakieś nieporozumienie! Najwięksi panowie, najwyżsi dygnitarze stosują się do sezonu i do sportu! Onegdaj jeden hrabia zamówił strój turystyczny, sam nawet delegat odebrał wczoraj garnitur letni z jedwabiu surowego, to samo nasz prezydent.

— Oni mają na to pieniądze, a nas nie stać, — rzekł twardo Szabelski, — a długów nie chcemy.

— A wie pan radca, co mi powiedział pan hrabia, który zamówił strój turystyczny?

— No, co panie Merczak? — spytał Blum.

— Oto rzekł do mnie, — wyprostował się Merczak i mówił uroczyście: — Każdy szanujący się gentleman powinien być winien swemu krawcowi, tylko hołota niestosująca się do sezonu i mody nie ma długu u krawca.

— A dużo winien panu ten hrabia? — spytał zaciekawiony Orszycki.

— Panie radco, to tajemnica zawodowa, — rzekł z godnością Merczak.

— No, przed nami możesz pan powiedzieć, — zachęcał go Blum.

— Mówię pod sekretem. — zniżył głos Merczak, — winien mi sześćset pięćdziesiąt koron.

— I sądzi pan, że zapłaci?

— Jestem pewny; to klient pierwszej mody, brylant, zna się na modzie, na kroju, na materyale.

— A na cenie? — uśmiechnął się Blum i mrugnął okiem.

— Płaci co się należy, — odrzekł z dumą, — u mnie nie wolno się targować.

— No, ja u pana nie zamówię garnituru, — uśmiechnął się Blum.

— O, dla przyjaciół i znajomych mam inną cenę, i chociaż nie mam czasu, zrobię tanio strój myśliwski dla pana budowniczego i garnitur rybołówczy dla pana radcy Orszyckiego.

— Wydoiły nas żony, nie mamy pieniędzy, — zaśmiał się Orszycki, — szukaj pan młodszych.

— Ja pieniędzy nie żądam, zapłaci radca kiedy zechce... a w takim garniturze byłoby radcy do twarzy, bo i wzrost i figura dobra.

— Nic z tego! — uśmiechnął się Orszycki, — nie chyci, jak mówi Bachmacki.

— Jak się panom podoba, — rzekł z dumną obojętnością Merczak, — ja wierny mym zasadom spełniłem obowiązek.

— O tych ubraniach da się jeszcze pogadać, — wstał Blum, — ale dziś pora spóźniona.

VII.

Orszycki w chwili nastroju filozoficznego wypowiedział, kończąc bombę piwa, zdanie: wszystko ma swój początek i swój koniec, — co towarzysze stołu przyjęli pełnem uznania skinieniem głowy. Jeden tylko Merczak, cedząc słówka arystokratycznie, rzekł:

— Daruje pan radca Orszycki, ale ja ze stanowiska politycznego cokolwiek zmieniłbym tę głęboką myśl pana radcy.

— No, no! — uśmiechnął się Blum niedowierzająco.

— No, no! — powtórzył Orszycki zgorszony, — co też pan nowego wymyśli?

— Bardzo przepraszam panów, — zaczął Merczak ze słodkim uśmiechem, — ale ja proponowałbym do tej nader filozoficznej myśli dodać jedno słówko

— Jakie? — spytał Blum surowo.

— Tak jest, jakie? — nachmurzył się Orszycki.

— Otóż dodałbym dla większej dobitności jedno słówko i powiedziałbym: wszystko ma swój początek i prawie wszystko ma swój koniec.

— Ale co pan za bzdury pleciel? — zawołał Blum, — naco tu „prawie?" czyż wszystko nie ma końca.

— Daruje pan prezes, ale nie wszystko, — zaprzeczył gorąco Merczak, — to się tylko tak zdaje, jednak ja rozważałem te wielkie sprawy w samotności i nie rozwodząc się długo, spytam tu obecnych panów, czy kunszt krawiecki może się kiedykolwiek skończyć? Pomijając zmienność naszej narodowej aury, czy wstydliwość społeczna pozwoliłaby wspólnie mężczyznom i damom chodzić nago? Czy krawiectwo tedy jako kunszt samo w sobie może mieć swój koniec? To byłoby przeciwne ekonomii i zdrowotności miast głównych, a nawet mniejszych, — wyprostował się dumnie i ostrożnie przygłaskał wypomadowaną fryzurę.

Orszycki wobec tego rozumowania Merczaka był już skłonny odstąpić od swego zadania, jednak z pewną nadzieją obrony spojrzał na innych, i nie zawiódł się, gdyż Blum rzekł drwiąco:

— Panie Merczak, czy nie uczono pana w katechizmie, że przyjdzie koniec świata? A w takim razie, czy nie będzie końca całemu krawiectwu?

— Otóż to! Otóż to! — zawołał ucieszony Orszycki i chcąc się odwdzięczyć Blumowi, dodał: — nie zaczynaj pan z prezesem, panie Merczak, bo zginiesz, — śmiał się głośno.

Merczak uznał się za zwyciężonego, a Orszycki dumny ze swego zwycięstwa powtarzał przy każdej sposobności: wszystko ma swój początek i swój koniec.

Ostatnie dni przed wyjazdem pań do Grotowa były dla żon pełne gorączkowych przygotowań, zaś dla panów obfitowały w rozmaite niespodzianki w rodzaju nieoczekiwanych sprawunków i wydatków, które sprowadzały irytacyę, brak humoru i pewien pesymizm życiowy, objawiający się obawą o stan kasy. Posiedzenia też przy piwie były nieszczególne i tylko na chwilę odzyskiwały dawną swobodę, a mianowicie, gdy Szabelski produkował cnoty i zalety swego pieska Mimusia, darowanego mu przez żonę, a swego ulubieńca, może dlatego, jak mówił Blum, że Mimuś jedyny z całej rodziny słuchał i szanował pana domu.

Nareszcie jednego wieczora Orszycki, gdy chwilowo umilkli przy stole, wygłosił uroczyście:

— Wszystko ma swój początek i swój koniec, — odetchnął, powiódł wzrokiem dokoła i rzekł z uśmiechem: — jutro o dziesiącej rano nasze żony wyjeżdżają.

Umilkł i spojrzał jakie wrażenie zrobią jego słowa. Znaną tę nowinę Szabelski przyjął z westchnieniem i czule pogłaskał Mimusia. Winecki nachmurzył się i popił piwa; Merczak chrząknął znacząco, jeden tylko Blum odpowiedział:

— Chwała Bogu, może nastanie spokój i porządek.

— W kieszeniach pustki, to porządek łatwy, — rzekł zgryźliwie Winecki.

— Co tam Jasiu tobie! — westchnął żałośnie Szabelski, — ale ja miałem cały pensyonat na głowie, nie miałem czasu się podrapać.

— Dobrze, że radcy żona nie drapnęła, — zaśmiał się Blum a za nim inni.

Zaczerwienił się Szabelski, poprawił okulary i rzekł z obrażoną miną:

— Gdybym nie szanował pozycyi i zasług prezesa, powiedziałbym głupstwo, ale ceniąc zdanie prezesa powiem, że takiemu jak mnie żadna żona nie drapnęła i mam nadzieję że nie drapnie. To prezesowi musiałem powiedzieć i powiedziałem, — odsapnął głośno i popił piwa.

— Ależ kochany radco, to był żart, ot, tak sobie, — usprawiedliwiał się prezes, — powiedział radca o drapaniu, a ja o drapnięciu.

— No, tak, — rzekł na pół udobruchany Szabelski, — ale nie o żonie.

— Szanowny radco, — uśmiechnął się Merczak, — literaci nazywają to paradoksem, to taka niewinna zabawa, nic więcej.

— Niech się bawią tak hołysze, ale nie my kupcy i przemysłowcy, — powiedział surowo Szabelski.

— Racya, radco, racya, — łagodził Blum, — a więc to z pensyonatem radco tyle kłopotów... Wierzę, bardzo wierzę, bo pomyśleć o jednej osobie dosyć, a cóż dopiero o tylu? i to w pensyonacie! Ileż to nakryć? talerzów? zastawy?

— Prezesie, te rzeczy to głupstwo jeszcze, obliczy się, kupi i koniec, — mówił żałośnie Szabelski, — ale te inne! — westchnął i po chwili: — powiadam prezesowi, miałem istotny młyn na łbie!

— No! No! I jakie to rzeczy? — spytał Blum ze współczuciem.

— A te fioki! stroje! Rano do śniadania jakiś tam szlafroczek, przy obiedzie inaczej, przy kolacyi inaczej.., no, i trudno, przecież nie może moja żona występować w pensyonacie jak kucharka! Musi mieć swój honor i ambicyę!

— Tak! Tak! — odezwał się nagle Merczak, — i moja żona sprawiła sobie dwie suknie, tylko że nie są gotowe, więc pojedzie później.

— A mieszkanie już ma? — spytał Orszycki.

— Tak jest, — odpowiedział Merczak z tajemniczą miną, — jedno z najpierwszych, bo przecież w byle dziurze mieszkać nie może,.. Mój dobry znajomy pan notaryusz z Nowego Targu, który u mnie się ubiera, obiecał mi wyszukać odpowiednie dla mojej żony pomieszczenie. Miłe, słoneczne wśród pól i lasów ze względu na moje nadszarpnięte nerwy.

— A pan zawsze ze swymi nerwami, — zaśmiał się Blum, — a tu ważniejsza rzecz, — spojrzał na resztę towarzystwa, — jak wy możecie tak ryzykować?

— My? — zdziwił się Winecki, — a cóż my ryzykujemy?

— Hm.... uważajcie tylko... dajecie żonom kupę zapracowanego grosza na mieszkanie, utrzymanie, różne wydatki, to tak, jak gdyby kto dzieciom pozwolił bawić się ogniem. Oszukają je, odrą, przepłacą i dopiero przyjdzie rozum po niewczasie. Kobiety trzeba odprowadzić, dopilnować, zgodzić furmanki, mieszkanie, opał, światło, a resztę im zostawić. Co innego bowiem w domu, gdzie mąż doradzi, pomoże, obliczy, a co innego w podróży i to w nowem nieznanem miejscu. Czy nie tak?

W odpowiedzi zwiesili głowy, westchnęli i popili piwo, zaś Blum mówił dalej:

— Nietylko szkoda waszych pieniędzy, ale nawet nie godzi się zostawiać tak kobiety bez opieki. Wiem, że każdy ma ważne sprawy, interesa, ale na jedną dobę można się uwolnić, a nie możecie wszyscy trzej, niechże jeden pojedzie i nie zezwoli na marnowanie waszej pracy.

Wszyscy trzej przyznawali słuszność wywodom Bluma, spojrzeli po sobie i spuścili oczy. Widocznem było, że żaden z nich nie miał ochoty poświęcić się dla drugich i znosić niewygody podróży, wydać pieniądze na koszta i przez kilka godzin, może dłużej przebywać w towarzystwie kobiet.

— Racya jest, — przemówił wreszcie Winecki, — ale kto ma jechać? Ja mam terminową budowę i nie mogę się ruszyć.

— Ja was pogodzę, — zawołał Blum, — wiem, że każdemu z was ciężko się ruszyć, ale pociągnijcie supełki, kto wyciągnie, ten pojedzie jutro z kobietami, a koszt podróży dzieli się na równe trzy części.

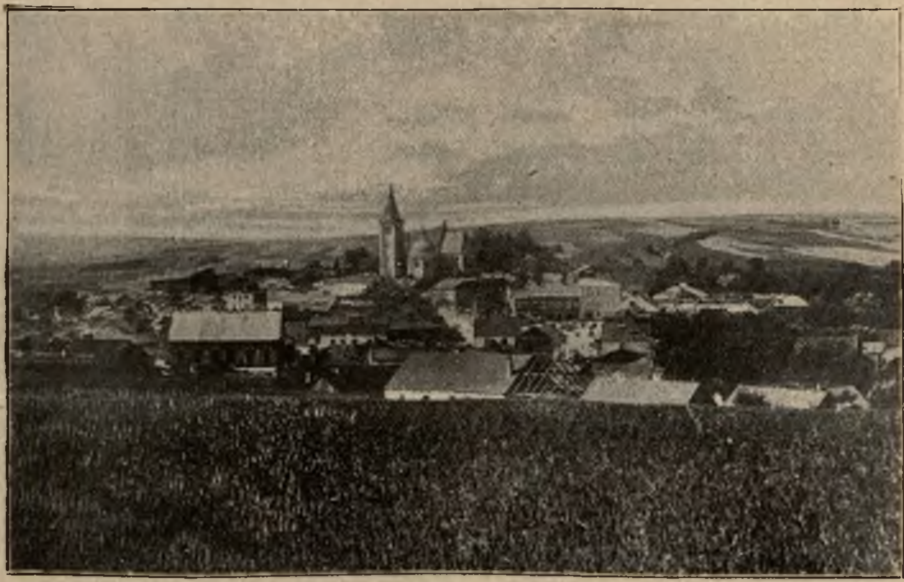
Po pewnych zastrzeżeniach, obawach i ceregielach, ostatecznie zgodzili się na ciągnienie supełka. Blum wyjął chustkę, zrobił supełek i trzy końce podał trzem żonatym.

Los padł na Szabelskiego. Zrobiło mu się gorąco i zimno na myśl, co powie Natalcia, która mu poleciła kilka spraw do załatwienia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

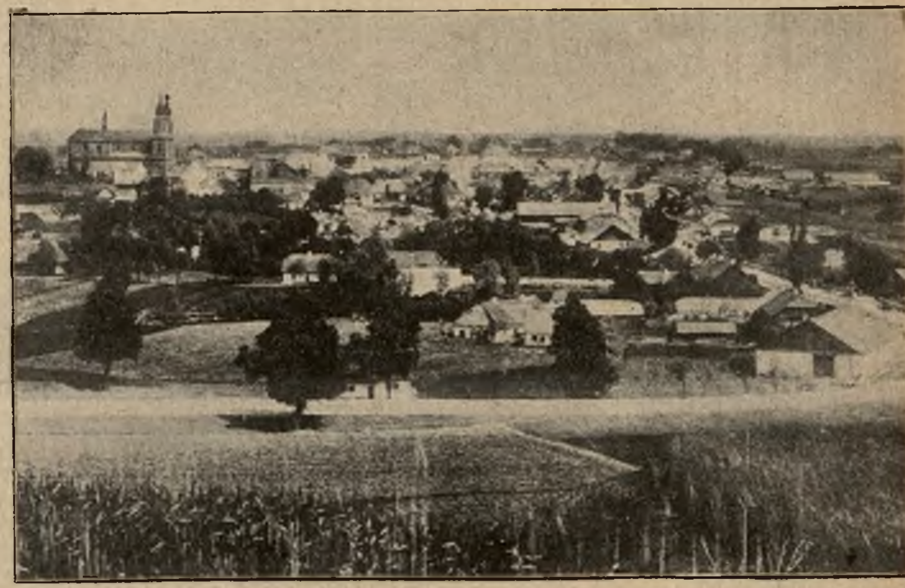
Z oswobodzonego kraju.

Dziwnym a szczęśliwym zbiegiem wypadków ziemię krakowską ominęła dotąd zawierucha wojenna, dotknąwszy ją tylko pośrednio. Drogą nam



Działoszyce.

Z oswobodzonego kraju:



Ogólny widok Słomnik.

ziemia krakowska zażywa dotychczas błogiego spokoju, a po zniesieniu „byłego“ kordonu cała znalazła się w pomyślnych warunkach. Powróciły do nas ziemie: miechowskie, kieleckie, proszowskie oraz sandomierskie, oswobodzone z jarzma rosyjskiego, które wraz z uciekającymi Moskalami ustąpiło. Za dobry znak uważają, iż w pierwszych chwilach toczących się wypadków uwolniła się ziemia racławicka, zroszona krwią naszych bohaterów z roku 1794.



Kościół w Miechowie.

Z oswobodzonego kraju:



Gmach monopolu wódczanego w Miechowie.

Żyzne te i piękne ziemie, zajęte przez wojska austryackie odzyskały wolność, podnosząc się obecnie i organizując pod hasłem naszych znaków. Może po tyloletniej niewoli przyjdzie im wreszcie zaznać lepszych dni, a całej naszej Ojczyźnie złączenia się i zmartwychwstania.

Podając w niniejszym numerze szereg widoków z oswobodzonych miast i miasteczek Królestwa, należy nam choć pokrótce zająć się każdem, przypominając niektóre daty z ich historyi. Wraz z okupacyą tych ziem przez Austryę, po przerwaniu wszystkich linii kolejowych, odżyły podróże dawnymi traktami, „okazye“ i wszelkie właściwości tej jazdy. Cały też ruch Krakowa z Kielcami kieruje się jedynym traktem, jeszcze z czasów Księstwa Warszawskiego, łączącym Kraków z Warszawą przez Miechów i Radom. Na tej drodze wkroczyły pierwsze wojska austryackie do Królestwa, a leżące przy niej miasta i osady nabrały znaczenia.

Zaczynając od Krakowa, wymienić należy najpierw Słomniki, obecnie pamiętne przez fakt, iż pojawienie się w nich awangardy austryackiej spowodowało ogólną ucieczkę władz i wojsk rosyjskich w całej gubernii. Jest to schludna osada, historyą swą sięgająca jeszcze wojen szwedzkich. Ludność jej, do 3000 mieszkańców dochodząca, zaznaczyła się uświadomieniem narodowem, czego złożyła dowód w licznem zaciąganiu się młodzieży do Legionu. Założone tam przez Strzelców biuro werbunkowe ściągnęło już Legionowi kilkudziesięciu młodzieńców z miasta i okolicy.

Stolica powiatu, Miechów, prastare miasto nasze, o którem wspominają już kroniki z XII wieku, znane jest z siedziby zakonu Bożogrobców, zwanych później Miechowitami, a sprowadzonych z Jerozolimy przez ówczesnych dziedziców herbu Gryf. Wieś tą zamieszkiwał z końcem XIII wieku Przemysław II, książę wielkopolski, a pożary w latach 1344, 1379, 1506, 1595 i 1746 niszczyły ją ciągle. Z Miechowem łączy się smutne wspomnienie powstania 1863 i klęski wyprawy krakowskiej, przy której miasteczko całe spłonęło. Odbudowany po pożarze kościół po Bożogrobcach należy do najpiękniejszych zabytków architektury kraju. Obecnie w Miechowie rezydują władze polskie, a kwatera Legionu stała się ogniskiem ruchu patryotycznego. Dalszym nabytkiem na tej drodze, pamiętnym obecnie, iż tutaj nasi Strzelcy, idący przed wojskiem, otrzymali pierwszy chrzest ognia w potyczce z kozakami — jest Książ Wielki, o dwie mile za Miechowem leżący. Osada ta, rozmiarem podobna Słomnikom, posiada piękny zamek margrabiów Wielopolskich, ordynatów Pińczowskich.

Postępująca wciąż naprzód armia austryacka zajęła następnie Jędrzejów i uwolniła tam setki po-



Kościół w Książu Wielkim.

Z oswobodzonego kraju:



Zamek w Książu Wielkim

wołanych do wojska rezerwistów i poborową młodzież z całej gubernii Kieleckiej. Jędrzejów, liczący 4000 ludności, był siedzibą władz powiatowych. Są tu dwa kościoły: św. Trójcy i pocysterski. Początek miasta sięga bardzo odległej przeszłości, bo początków XII wieku. Jak większość miast polskich, Jędrzejów zawdzięcza powstanie swe istnieniu klasztoru, który tu założył Klemens Gryfita w r. 1149. Dalszymi uposażycielami klasztoru byli biskup Gedeon i zasłużony dziejopis, Wincenty Kadłubek, który tu nawet wstąpił i jako zakonnik w r. 1223 życia dokonał.

Do najdawniejszych zabytków Jędrzejowa należy kościół parafialny św. Trójcy, datujący się również z XII wieku, a założony przez opata Mikołaja Odrowąża.

Z dalszych, zażywających też obecnie czasów nowej ery wolności, wspomnimy Działoszyce, znane z tego, że zamieszkują je przeważnie żydzi. Leżą one w powiecie pińczowskim, w gubernii kieleckiej, przy ujściu Dzierzążni do Nidzicy, liczy 7000 mieszkańców, w tem 6000 żydów. Jest centrem handlu zbożowego dla ziemi proszowskiej i cieszy się wielką zamożnością ludności żydowskiej. Kościół parafialny, pochodzący z XIV wieku, należy do celniejszych pomników budownictwa gotyckiego w Polsce.

Kielce, głośne ostatnio z powodu stoczonej pod niemi bitwy Strzelców i armii austryackiej ze znaczną dywizyą rosyjską i popadnięcia ich na dwa dni z powrotem w ręce Moskali, odzyskane po silnym ataku naszych wojsk, wzmocnionych nadeszłymi posiłkami, stały się obecnie centrem ruchu narodowego. Tutaj znajduje się główna kwatera Strzelców i obóz ochotników z Królestwa, których liczba już paru tysięcy dochodzi. Kielce są już większem miastem gubernialnem, ponad 30.000 mieszkańców liczącem. Dawny zamek tutejszy, ostatnio siedziba władz gubernii służy obecnie polskim władzom wojskowym i politycznym. Piękna starożytna katedra z końca wieku XII należy do cennych zabytków naszego budownictwa średniowiecza. Jako stolica gubernii posiadają Kielce urzędy okręgowe jak sąd i urząd skarbowy, biskupstwo, a nadto parę szkół średnich i seminaryum duchowne.


Klasztor w Jędrzejowie.

Z oswobodzonego kraju:


Jarmark na rynku w Jędrzejowie


Ogólny widok Kielc.

Z oswobodzonego kraju:


Zamek i katedra w Kielcach

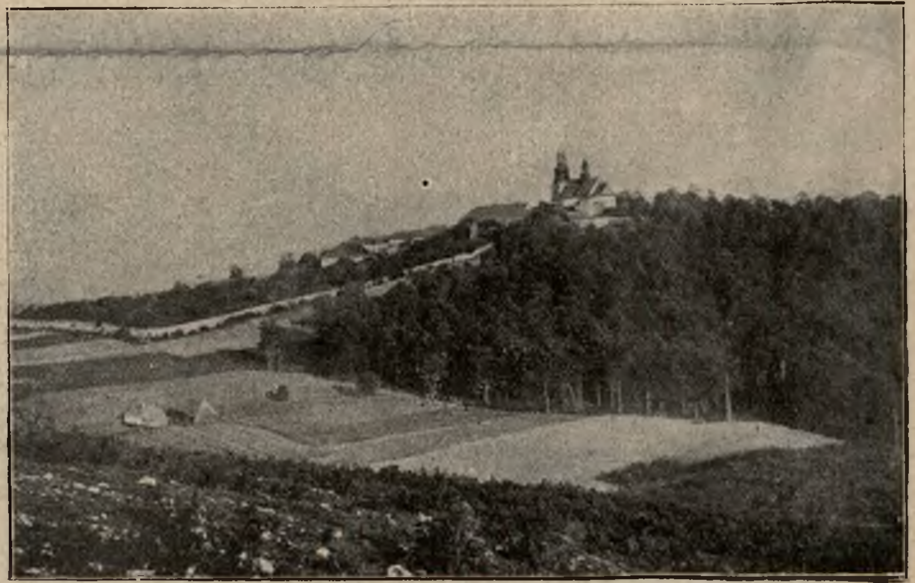
Tak więc pomyślnym biegiem wypadków odzyskała swobodę cała gubernia kielecka, posiadająca ponad 10.000 klm.^{2} przestrzeni z blizko milionem ludności, mieszkającej w siedmiu powiatach: kieleckim, jędrzejowskim, włoszowskim, miechowskim, olkuskim, pińczowskim i stopnickim. Żyzna jej ziemia, bogata w skarby naturalne, wraz z rozwiniętymi obok doskonałej gospodarki rolnej, przemysłem i górnictwem stanowi cenny nabytek, a zniesiony kordon pozwala tamtejszej ludności czuć się Polakami i działać wraz z nami nad wyswobodzeniem dalszych ziem naszych.

Szpitale polowe.

Każda wojna pociąga za sobą mniej lub więcej liczne ofiary w ludziach, a ważnem dążeniem stron wojujących jest też postaranie się o dobrze wyszkoloną służbę sanitarną, któraby rzeczywiście odpowiadała swemu zadaniu. W tym kierunku przychodzą państwu z pomocą instytucye prywatne n. p. Czerwony Krzyż, Samarytanin i inne.


Rynek w Kielcach

Z oswobodzonego kraju:


Karczówka pod Kielcami.

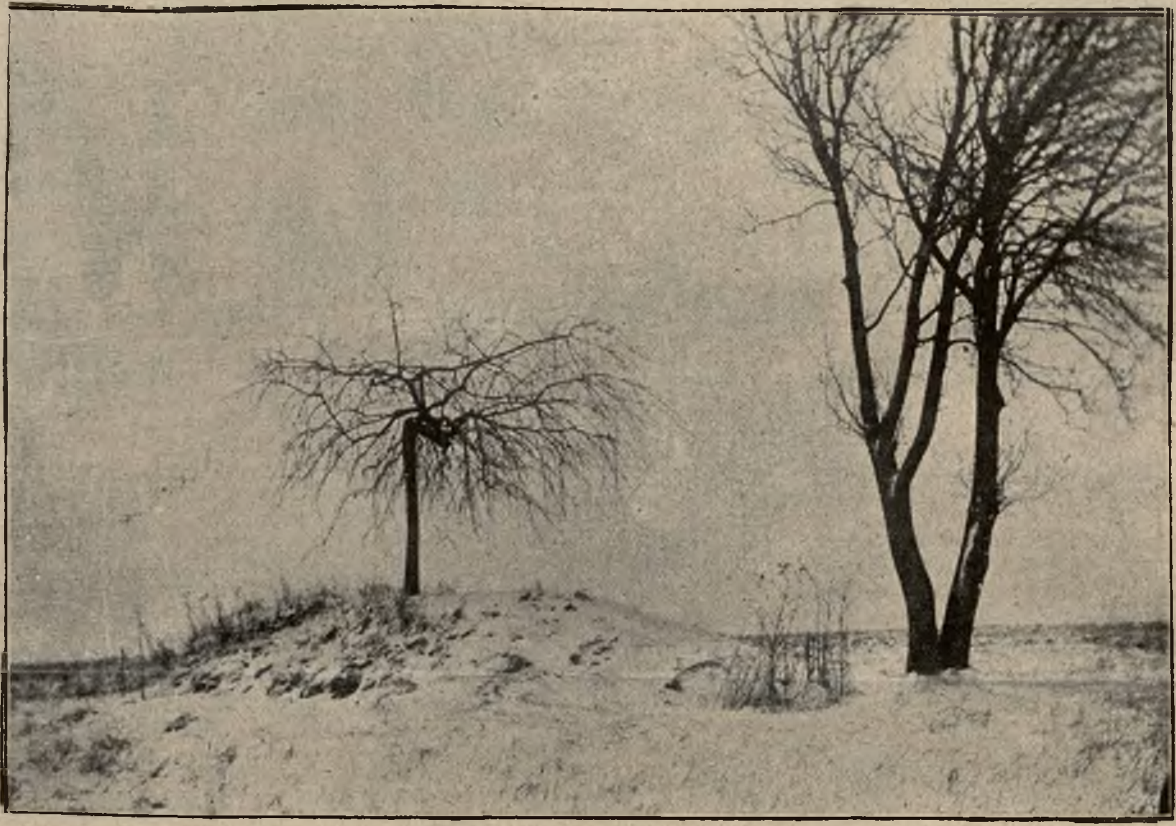




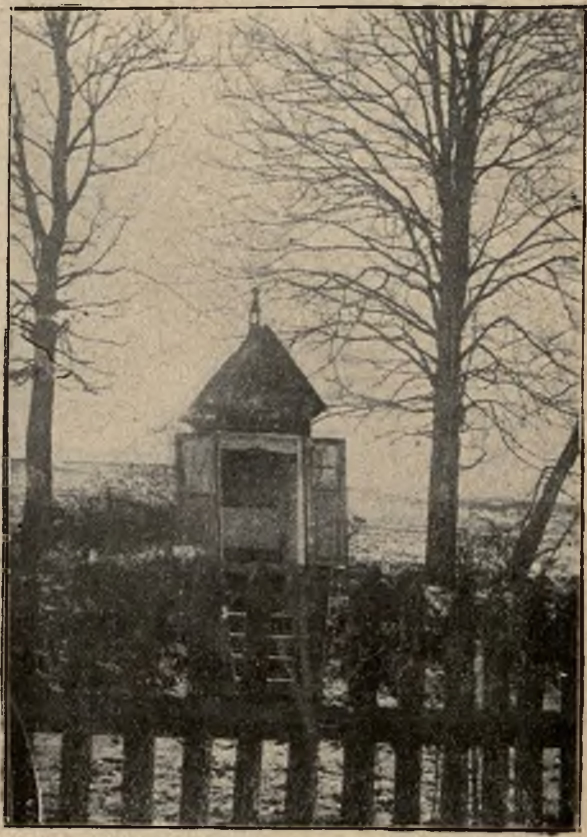
Personal austryackiego szpitala, przetrzymany przez dwa dni w niewoli rosyjskiej, z komendantem dr. Tornauem (X).

Szpitale polowe:

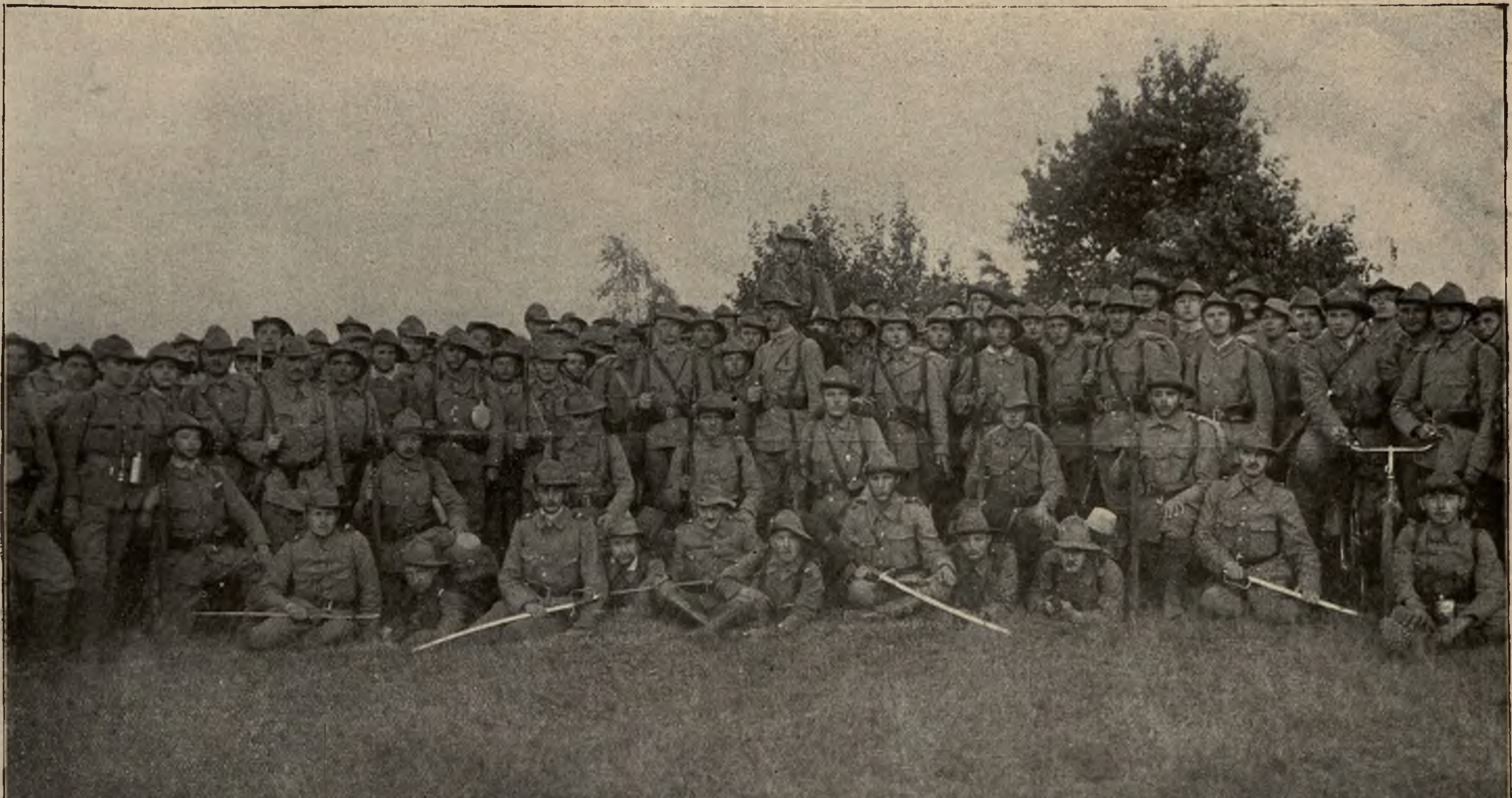
Personal austryackiego szpitala polowego Nr. 4.



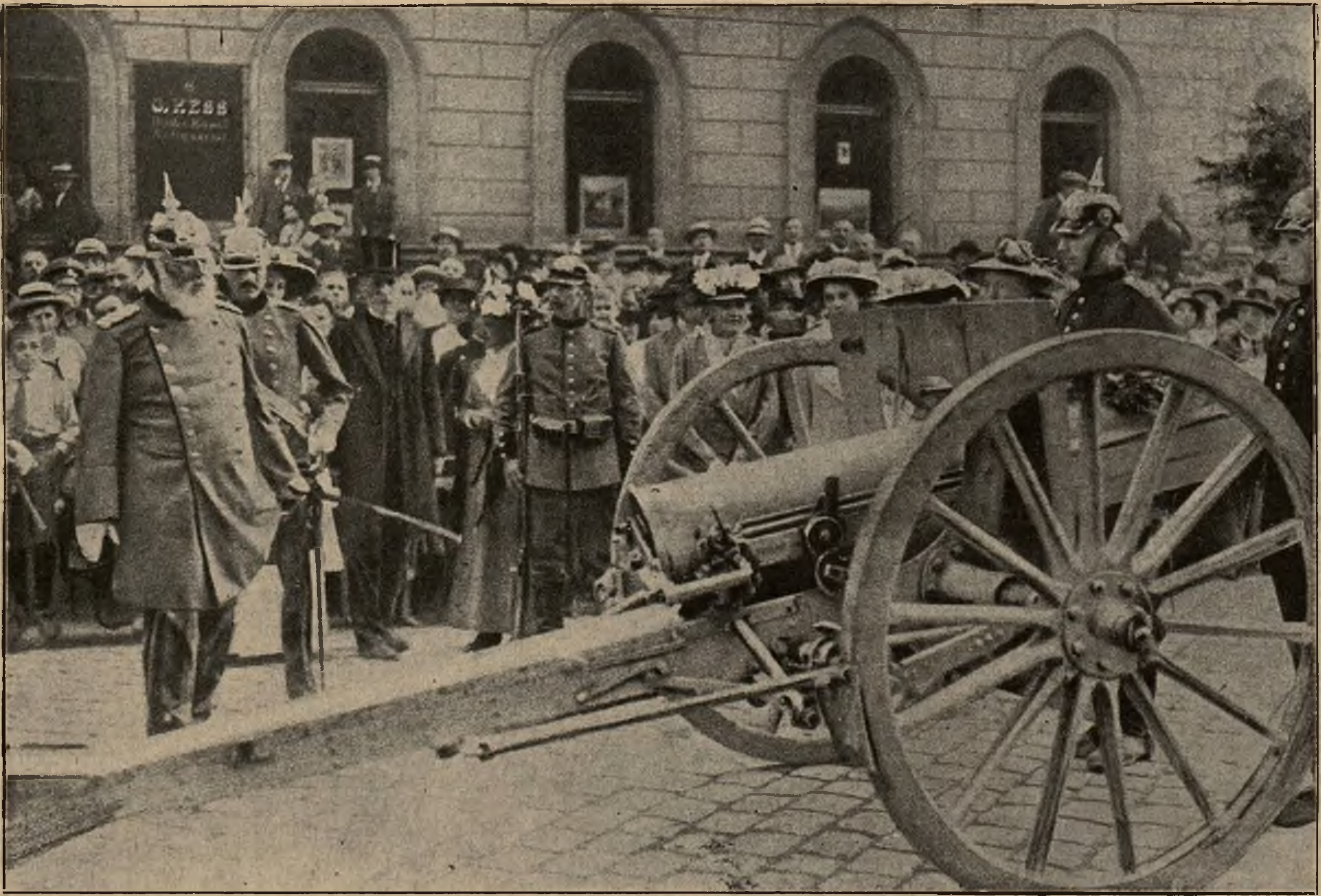
Z oswobodzonego kraju: Mogiła poległych w bitwie pod Racławicami w r. 1794



Z oswobodzonego kraju: Stara kapliczka na polu racławickiem, przed którą modlili się kosynierzy.



Wymarsz legionistów: Drużyny polowe Sokoła, stacyonowane w Sierszy.



Na teatrze wojny europejskiej: Król bawarski Ludwik ogląda w Monachium zdobytą armatę francuską.

sie wojny lekarze, pomijając już tę okoliczność, że niejeden z nich pada ofiarą zabłąkanej kuli, gdy poza linią bojową niesie pomoc rannym.

Ciężka więc, jak z tego widać, i pełna niebezpieczeństw jest służba lekarza i sanitaryuszy, humanitarną swą działalnością zdobywają sobie oni wdzięczność i uznanie całego społeczeństwa.

W niniejszym numerze podajemy illustracye przedstawiające personal dwu szpitali polowych austryackich: żółkiewski i nr. 4. Zwłaszcza ten pierwszy, którego komendantem jest Krakowianin, lekarz pułkowy dr. Turnau, zasługuje na wzmiankę, gdyż część lekarzy i służby sanitarnej pojmana została podczas transportu rannych do niewoli rosyjskiej, z której wypuszczono ich dopiero po dwu dniach.

Okropności wojny współczesnej.

Tocząca się już od miesiąca straszna wojna europejska wykazała, iż mimo postępów kultury wojna nie straciła nic ze swej okrutności i siły niszczycielskiej. Wielu teoretyków sztuki wojennej a także i filozofów dowodzi, że wojna jest koniecznością niedającą się uniknąć. Nagromadzone od lat antagonizmy, sprzeczności polityczne, ekonomiczne i t. p. doprowadzają rzekomo do tak ostrego nasilenia, iż jedynie rozprawa orężna może je załatwić i usunąć. Przeprowadzenie jednak w życie tej teoryi straszne jest, bo ginie przy tem setki istnień ludzkich, a nadto teren, na którym wojna się rozgrywa, po przejściu huraganu wojennego przedstawia obraz ruiny i zniszczenia dóbr ludzkich i zabytków pracy i wysiłków

Najgłówniejszy nacisk położony być musi na tak zwane szpitale polowe, znajdujące się w bezpośrednim sąsiedztwie pola walki, dokąd sanitaryusze znoszą ciężej rannych. Tutaj się ich opatruje i pielęgnuje aż do chwili, gdy stan zdrowia pozwoli na przewiezienie w głąb kraju, gdzie chorzy nie są już narażeni na niebezpieczeństwo ze strony nieprzyjaciół.

Nie trzeba jednak sądzić, że służba sanitarna w czasie wojennym jest zupełnie bezpieczną, owszem tak lekarze, jak i pomocniczy personal padają często ofiarą swego powołania. Zwłaszcza w obecnej wojnie austryacko-rosyjskiej spotykamy się często z wzmiankami o nieposzanowaniu przez nieprzyjaciół chorągwi Czerwonego Krzyża, oznaczającej według konwencyi genewskiej miejsca opatrunkowe i szpitale.

W ten sposob postępuje nie tylko ciemna tłuszcza, spędzona gdzieś z azyatyckich stepów, ale i ludzie, którzy powinniby sobie rościć pretensye do europejskiej kultury.

I tak, czytaliśmy niedawno o jednym z wiedeńskich sprawozdawców dziennikarskich, pełniącym równocześnie obowiązki sanitaryusza, który, zajęty w Galicyi Wschodniej zbieraniem rannych na pobojowisku, napotkał rosyjskiego jenerała. Ten coś doń zagadał, Niemiec, nie rozumiejąc, wskazał tylko na opaskę z czerwonym krzyżem, jaką miał na ramieniu. Pan jenerał nic na to nie odpowiedział, wydobył rewolwer i strzelił, kładąc „wroga“ trupem na miejscu.

I spotkała go za to zaraz zasłużona kara, austryaccy sanitaryusze pomścili śmierć swojego kolegi i ułatwili panu jenerałowi i jego świcie przeniesienie się na łono Abrahama.

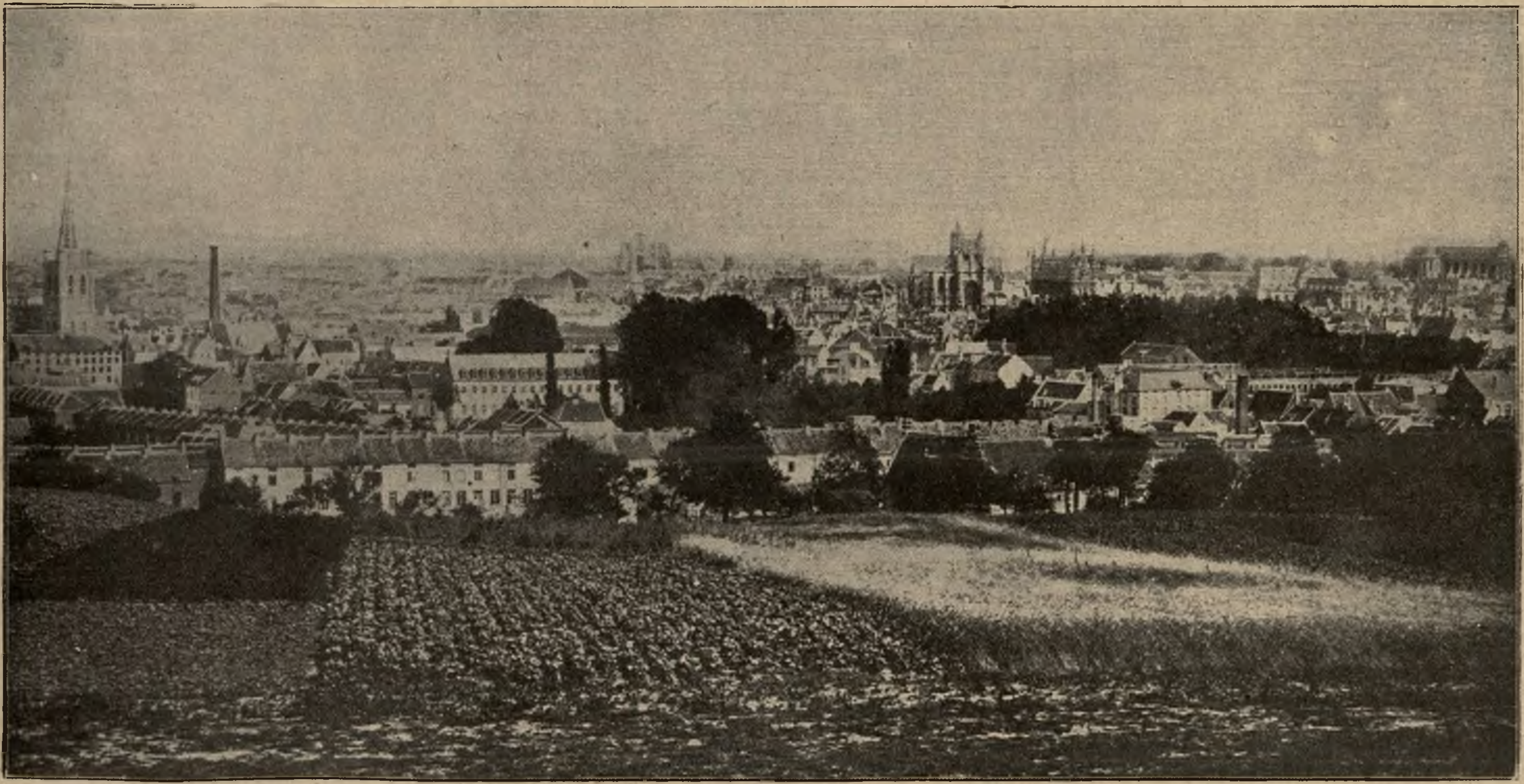
Albo drugi podobny wypadek.

Opowiadają ranni żołnierze, którzy z pod Kraśnika przybyli do Krakowa, iż w tamtejszym szpitalu polowym opatrywał lekarz austryacki rosyjskiego zranionego oficera. Gdy się zwrócił następnie do sąsiedniego łóżka, by zająć się innym chorym, Moskal odwdzięczył się mu w ten sposób, iż podstępem zastrzelił swego dobrodzieja. I tego nie minęła także kara, wyrokiem sądu wojennego skazany został na śmierć.

Są to odosobnione wypadki, świadczą jednak dobitnie, jak kulturalnie postępują sobie nasi wrogowie i na jakie niebezpieczeństwa narażeni są w cza-



Na teatrze wojny europejskiej: Defilada zdobytych armat rosyjskich w Berlinie.



Okropności wojny współczesnej: Widok belgijskiego miasta Lowanium (Louvain), zburzonego przez wojska niemieckie.

lat dziesiątków. Wojna dotyka nie tylko bijących się bezpośrednio, więcej od nich cierpią bierni świadkowie, tem gorszy los mający, iż nie zabezpieczony i niespodziany. Pochód walczących wojsk przez jakiś kraj to huragan, który zmiata z powierzchni ziemi wsie, osady i miasta całe wraz z ludnością, której część tylko może się uratować. Mimo wysiłków armii współczesnych tego niszczycielskiego skutku wojny nie da się uniknąć, a jak doświadczenie obecnej wojny wykazało, spotęgował się on jeszcze bardziej. Są to jednak pośrednie skutki i okropności wojny współczesnej. Sama walka wskutek zastosowania wynalazków i nowych sposobów prowadzenia bitwy przerodziła się w straszne zmaganie dwóch ścierających się potęg. Wojna obecnie zmieniła się w zorganizowany, odrębny świat, zagarnia dla siebie wszystkie instytucye, których działalność została zwrócona w odwrotnym kierunku. Dotąd służyły wygodzie i ułatwieniu życia ludzkiego — teraz mają na celu przygotowanie pogromu nieprzyjacielowi. Kulminacyjny i rostrzygający punkt wojny — bitwa nie bywa obecnie toczona przypadkowo, lecz przygotowuje się ją według planu, po całym szeregu przygotowań terenu i armii, mających się spotkać. Zwycięska bitwa, druzgocąca przeciwnika — jest jednocześnie zwycięstwem politycznem, narzucającem powalonemu wolę zwycięscy. Dlatego obecnie słyszy się częściej o potyczkach i mniejszych starciach, bo każdy stara się decydującą walkę stoczyć w najpomyślniejszych warunkach.

Jedną z niebywałych okropności wojny jest udział w niej olbrzymich mas milionowych, które używają morderczej broni nowoczesnej, starając się uczynić sobie największe szkody. Grozę podnosi jeszcze sposób walki na odległość, gdy przeciwnicy nie widzą się a tylko po kierunku pocisków dowiadują się



Na teatrze wojny europejskiej: Zdobyte armaty francuskie na placu Odeon w Monachium.



Wymarsz leg'onistów: Strzelcy powiatu krośnieńskiego z komendantem Kozłowskim i pos J Stapińskim w pośrodku.



Z oswobodzonego kraju: Katedra w Kielcach.

o miejscu pobytu przeciwnika. Wojska walczące zasypują się gradem kul, starając się niedopuścić do ataku, który teraz, według opowiadań rannych stał się mniej okropny od oczekiwania w okopach na szczęśliwy los uniknięcia padających wszędzie kul. Przedstawiwszy sobie psychikę współczesnego człowieka, pokolenia obecnego, wychowanego w pokoju, gdy przyjdzie mu nieraz całemi dniami leżeć pod deszczem ołowiu, w otoczeniu padających wciąż rannych i trupów, można sobie wyobrazić jakich wysiłków woli potrzeba na przetrzymanie tego. To walka w polu, mająca przynajmniej rozmaitości zmiany pozycyi, posuwania się w różne strony i większą swobodę ruchów. Ranny wycofuje się z linii walki, i gdy szczęśliwie ją przebędzie może się ocalić w lazarecie. Gorsze położenie jest załogi, broniącej miasta, wobec nowych dział użytych przez armie niemieckie w Belgii i Francyi, los żołnierzy, broniących fortów, nawet najbardziej opancerzonych jest przesądzony, mają do wyboru albo zginąć w gruzach, albo się poddać, to też dowiadujemy się o poddaniu całego szeregu fortec francuskich, w których załogi przerażone skutkiem pierwszych pocisków, wywieszały białą chorągiew już w początkach walki.

A jednak wszystkie sprawozdania z bitew podnoszą, iż armie współczesne, mimo iż rekrutują się z ludzi pokolenia nerwowego, znoszą trudy i okropności wojny obecnej znacznie większe od poprzed-



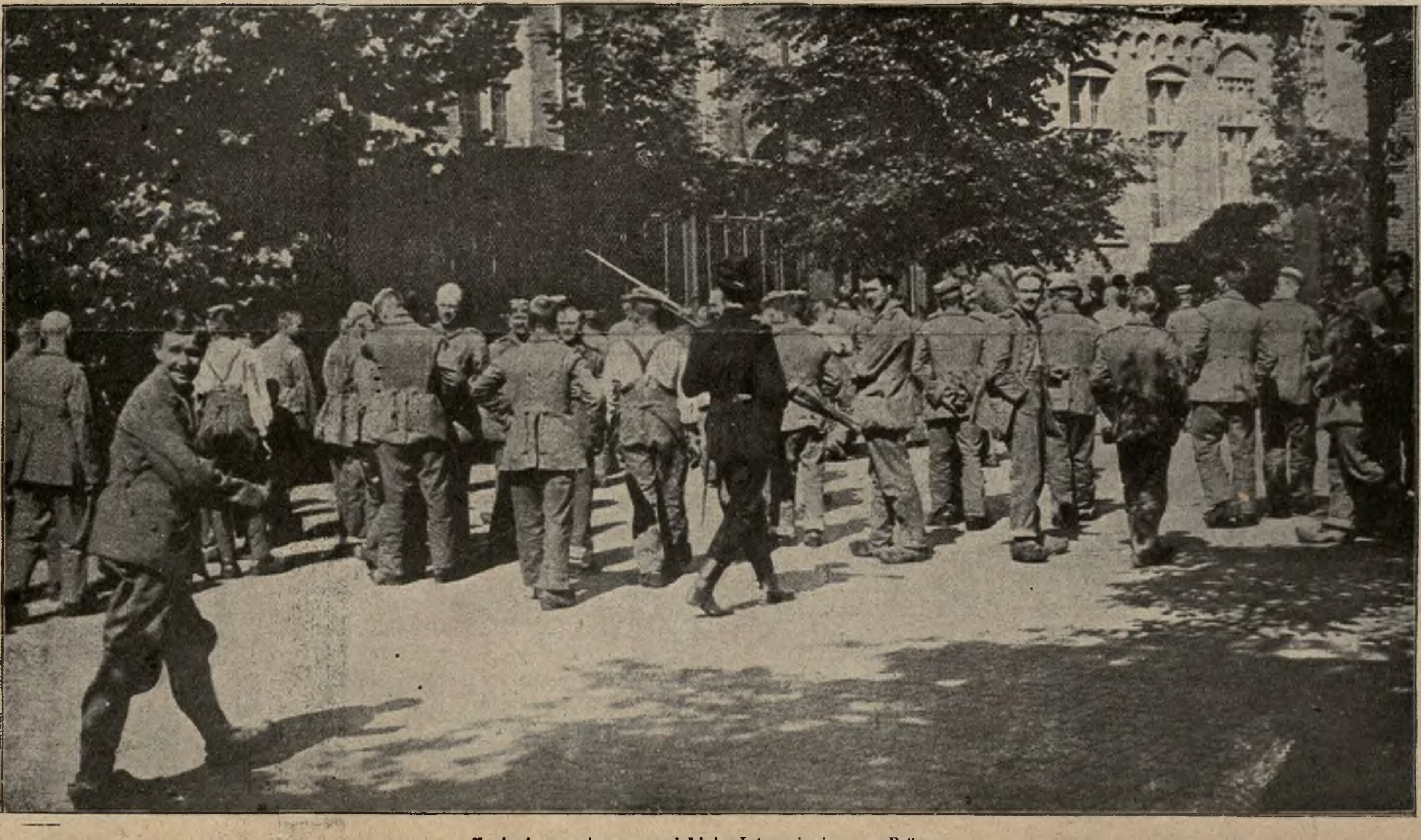
Z oswobodzonego kraju: Rynek w Miechowie.

nich. Widać prawo „Mimiery" uodpornia ich tem silniej, im straszniejszy jest przebieg walki.

Dla charakterystyki walk pod fortecami warto przytoczyć opis olbrzymich dział niemieckich o kalibrze 42 centymetrów.

Rury moździerzy o kalibrze 42 centimetrów są bardzo długie, a pocisk ma wysokość dorosłego człowieka i waży 8 centnarów. Sam ładunek wybuchowy waży kilka centnarów. Strzały padają z odległości kilku mil i artylerzyści, obsługujący te potworne działa, nie widzą celu. Często pomiędzy baterya a celem wznoszą się wzgórza, zaś do obliczenia odległości celu służą dokładne mapy. Prócz tego z boku bateryi unosi się w powietrzu balon na uwięzi, a oficerowie, siedzący w jego łodzi, obserwują trafność i skutek pierwszych strzałów, donosząc o nich telefonem komendantowi bateryi. Straszne też są skutki takiego pocisku: z betonowych fortów, budowanych latami i konstruowanych na wielką odporność. Po jednym pocisku zostawały tylko gruzy, załogi zaś ich giną zgniecone i uduszone, nie używszy nawet broni.

Moździerze te uczyniły obronność fortów illuzoryczną a obronę ich hekatombą załogi, a temsamem walkę w fortecach za niemożliwą. Obecnie kierownictwa armii namyślają się nad zastosowaniem tych dział w polu.



Na teatrze wojny europejskiej: Jeńcy niemieccy w Brügge.

Na teatrze wojny.

„Na wojnie — jak na wojnie“ — powiada przysłowie, stąd dzień każdy przynosi nam inne nowiny, raz pomyślniejsze, to znów gorzej brzmiące, z których jednak na razie nie można wyciągać wniosków, gdyż sytuacya wciąż się zmienia. Wojna obecna, jest tak olbrzymich rozmiarów, jakich dotychczas

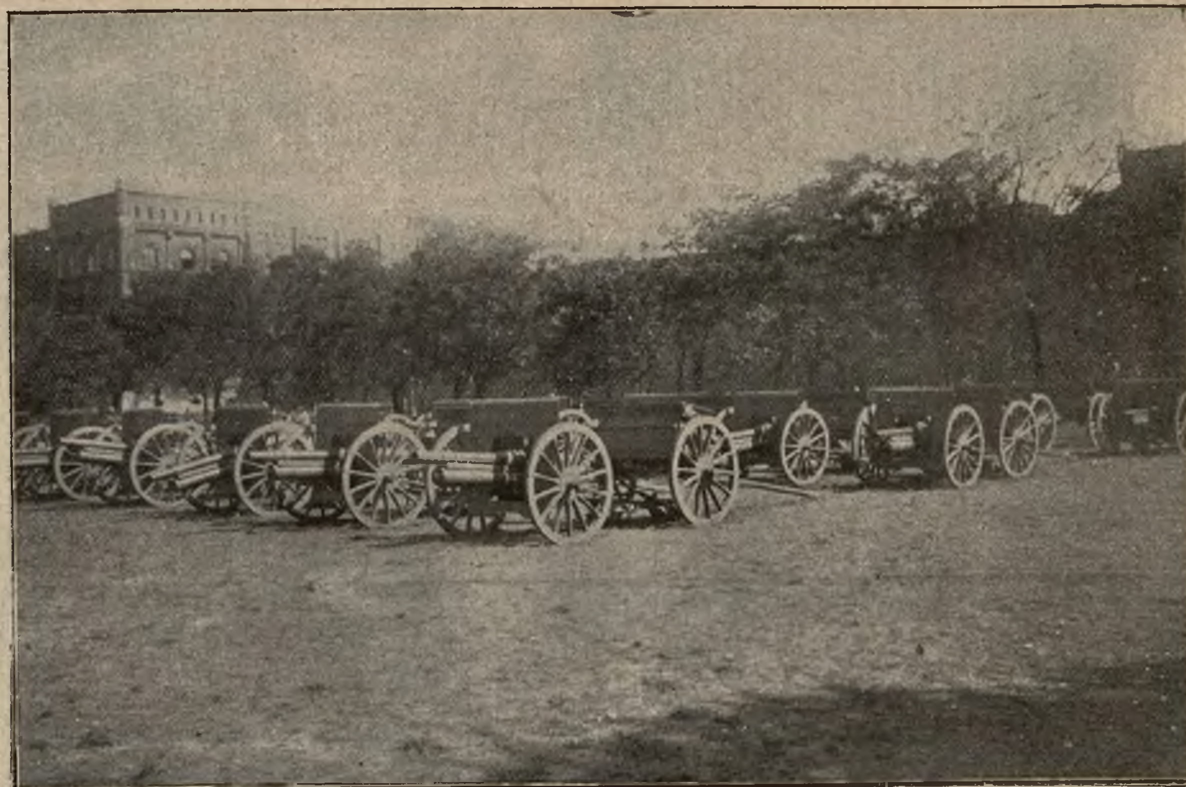


Na teatrze wojny europejskiej: Jen. Hindenburg, dowódca armii niemieckiej, operującej w Prusach Wschodnich

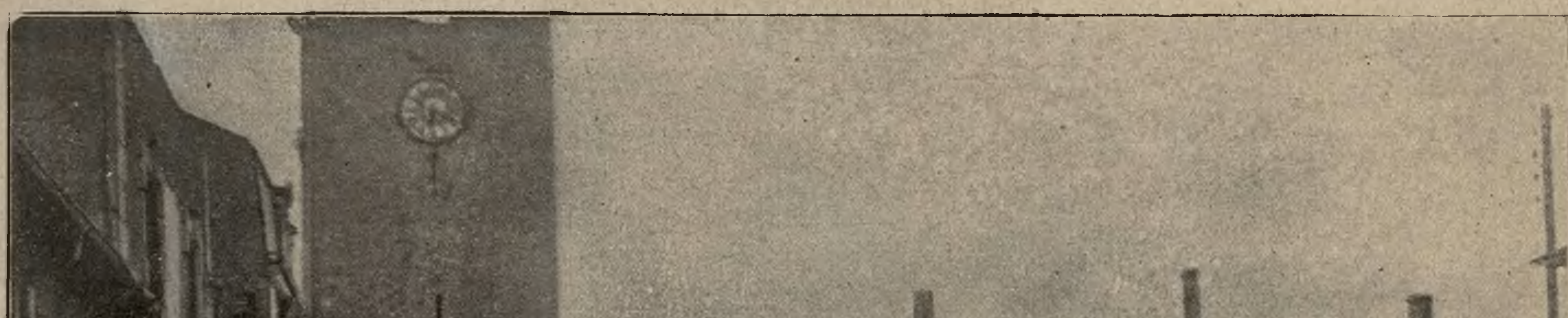
historya nie zna, dlatego też pojedyncze bitwy, nawet najkrwawsze nie decydują o rezultacie. Przechodząc kolejno tereny bitew podnieść należy zatrzymanie się chwilowe ofenzywy niemieckiej we Francyi, po zdobyciu twierdz „zamykających“ t. j. skrzydłowych, część korpusów niemieckich zajęta jest obecnie przy oblęganiu twierdz wschodnich francuskich, gros zaś wojsk niemieckich w trzech armiach zdąża do Paryża, przed którym okopały się ustępujące armie Francyi. Początkowe wiadomości o ogłoszeniu Paryża za „miasto wolne“ i rzekomem ewakuowaniu go przez Francuzów obecnie już się nie pojawiają, bo generalicya francuska postanowiła bronić go z wielu względów, a także i dla podtrzymania ducha w wojsku francuskiem, które coraz mniej go okazywały. Z francuskiego więc teatru wojny nie będziemy mieć prawdopodobnie czas dłuższy wieści, bo oblężenie i obrona stolicy Francyi potrwają zapewnie minimum parę tygodni.

Na wschodnim zato terenie święci oręż niemiecki ciągłe tryumfy, zwycięska od początku armia generała Hindenburga praży wciąż Rosyan w Prusach Wschodnich. Według ostatnich doniesień biura prasowego ofenzywa rosyjska w kierunku „do Berlina“ została wreszcie zatrzymana, a podejmujące ją trzy armie rosyjskie są rozbite i obecnie ścigane przez wojska niemieckie. Do ostatniej porażki Rosyan przyznał się otwarcie gen. Rennenkampf, stwierdziwszy odwrót swych wojsk z terytoryum niemieckiego.

Zamierzone również oskrzydlenie austryackich armii generałów Dankla i Auffenberga nie powiodło się też wojskom rosyjskim, a siły austryackie zabezpieczywszy sobie skrzydła i tyły przygotowują się do ofenzywy. Zacięte walki pod Rawą Ruską przyniosły siłom rosyjskim olbrzymie straty, a front naszych wojsk w całej wschodniej Galicyi nie uległ złamaniu i jak dobiegnie nas od czasu do czasu lakoniczna wiadomość z komendy, sytuacya przedstawia się pomyślnie.



Na teatrze wojny europejskiej: Zdobyte armaty rosyjskie przed arsenałem w Wiedniu.



Okropności współczesnej wojny: Miasteczko francuskie Jarny po zajęciu przez wojska niemieckie.

Kronika tygodniowa.

Przyznam się Szanownym Czytelnikom, że obecna wojna już mi zaczyna bokiem wyłazić, jakie zaś są tego powody, postaram się poniżej wyłuszczyć, wychodząc z tej zasady, iż każda boleść, jeśli jest podzieloną, staje się lżejszą i łatwiejszą do zniesienia.

Kłopoty moje, nazwijmy je wojenne, dadzą się podzielić na dwie główne grupy, redakcyjne, czyli urzędowe i czysto osobiste.

Przedewszystkiem więc przez cały tydzień muszę się zajmować sprawami wojennemi, by wyciągnąć z różnych wiadomości i plotek właściwy ekstrakt, któryby można było podać Czytelnikom. A jest to zadanie nielada, wszystkie bowiem pogłoski trzeba przesiewać przez bardzo gęste sito, w drukowanych zaś sprawozdaniach trzeba umieć czytać w wierszach i między nimi.

Zważywszy zaś, że moja główna kwatera prasowa znajduje się w Krakowie, a depesze mógłbym odbierać tylko przy pomocy telegrafu bez drutu, a takim nie rozporządzam, jestem więc, jak to powiadają, niczem tabaka w rogu, wobec czego może się łatwo wydarzyć, iż niejedna moja informacya, aczkolwiek podana bardzo ostrożnie, może się okazać niezupełnie prawdziwą.

Proszę więc o pobłażliwość, gdyż żaden kronikarz, nawet „Nowości illustrowanych“, nie jest nieomylnym.

Nie wiem dlaczego, ale obywatelom rozszerzonego Krakowa wydaje się, iż dziennikarz, to człowiek dziś uprzywilejowany, który wie bardzo dużo, ale nie chce powiedzieć.

Każdy więc prosi, by go wtajemniczyć w *arcana* polityki i klnie się na wszelkie świętości, nawet na brodę Mahometa, iż wszystko zachowa tylko dla swej własnej wiadomości, a nikomu słowa nie piśnie.

Dobrze się składa, że telefon nie funkcyonuje, przynajmniej z tej strony mamy spokój.

Pierwszym „interwiewerem“, który zaraz rano składa mi wizytę w mem mieszkaniu, jest mój gospodarz. Nie sprawia mi to zbytniej przyjemności, gdyż, muszę się przyznać w sekrecie, zalegam dosyć z czynszem, obiecuję przecież, że go wyrównam, skoro tylko sytuacya się poprawi, kiedy to jednak nastąpi, nie mogę z góry przewidzieć, gdyż nie jestem prorokiem.

Trzeba przecież zrobić, jak mówi Niemiec: *Gute Miene zu bösem Spiel*, witam go więc grzecznie:

— Jakiejż okoliczności mam zawdzięczać ten zaszczyt, iż pan radca osobiście raczy się fatygować?... Zapewne w sprawie czynszu?

— Skądżeby znowu! Ja wiem, że pan literata (tego wyrażenia stale używa), jeśli będzie miał, to zapłaci... Ja tam, panie kochany, nie jestem z tych, o których pan pisał w poprzedniej kronice! Jabym w tych czasach darował wszystkim lokatorom zaległe czynsze, boję się jednak, aby moi koledzy, kamienicznicy, dowiedziawszy się o tem, nie zapakowali mnie do czubków, jako niebezpiecznego waryata... Przyszedłem tylko po to, by się dowiedzieć, co właściwie słychać w świecie.

— Panie radco dobrodzieju! Wiem tylko tyle, co i pan.

— E!... Gadanie!... Panowie wiecie wszystko, tylko udajecie, że nic nie wiecie...

— Ależ... jak Boga kocham, wiem tyle, co jest w gazecie, a to samo wie i pan dobrodziej...

— A jednak ja temu nie wierzę! Niech mi pan, powie przynajmniej, czy to prawda, że Moskale są już w Trz ini?

— To panu powiedzieć mogę! Są, bo byli! Przed oma miesiącami przejeżdżałem przez Trzebinię własnoręcznie zjadłem cztery w restauracyi kolejej. Sztuka po sześć halerzy... Trochę za drogo!

— Ale ja nie pytam o takie bez głowy z puszki ... baryłki, ale całkiem żywe, z głową...

— W tym względzie nie mogę służyć informacyą!

— Gdyby pan jednak dowiedział się czegoś pewnego, proszę wpaść do mnie na minutkę... A niech tam pan łaskawy nie zapomina o czynszu... Już dziś piętnasty. Teraz ciężkie czasy...

Zaledwie wyszedł i ja dokończyłem toalety i wybrałem się w drogę do redakcyi.

W sieni zastąpiła mi stróżka drogę.

— Całuję rączki wielmożnego pana! A co tam słychać, proszę pana, na świecie? Mówiła mi straganiarka z przeciwka, że Moskale spalili Rzym i wzięli Ojca świętego do niewoli...

— To blaga, moja kobiecino! Ojciec święty ma się zupełnie dobrze, Rzymowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo... Kupcie sobie zresztą gazetę, to się dowiecie!

— Co mi tam po gazecie! Mój mąż chodzi codziennie do Siapsi na kubek i stamtąd przynosi różne wiadomości, nawet takie, których w gazecie nie było...

Pożegnałem ją, na ulicy spotkał mnie znajomy i zaczepił:

— Sługa kochanego redaktora! Cóż tam nowego?

— A nic!... Śniły mi się doskonałe numery na loteryę... Może pan postawi?

— Nie o to mi się rozchodzi!... Co słychać w polityce?

— Także nic nowego!... Turcy są już w Konstantynopolu...

— Cô pan łaskawy mówi? W Konstantynopolu?... Żegnam pana, muszę lecieć do domu i opowiedzieć to żonie, bo ona o dziewiątej idzie do świętej Barbary na mszę, tam spotyka się z przyjaciółkami, więc im opowie. A pan wie, jaka każda baba dumna, gdy może przynieść przyjaciółkom nowinę!...

Pozbyłem się jednego, potem drugiego i trzeciego, nawet konduktorka w tramwaju dopytywała się o sytuacyę na terenie wojny, gdyż tam walczy jej cioteczny szwagier.

Wreszcie dopłynąłem do portu, to jest znalazłem się w lokalu redakcyjnym.

Tutaj czekał na mnie jakiś wygolony jegomość.

— Pardon!... Czy mam przyjemność z panem kronikarzem? — zapytał, podnosząc się z trudnością z krzesła.

Ponieważ nie wymawiał litery „r“, dolne odnóża zaś wykazywały lekki tabes, domyśliłem się, że mam przed sobą naszego galicyjskiego arystokratę.

I jak się później pokazało, nie pomyliłem się wcale.

— Tak! — odparłem — Proszę, niech pan zajmie miejsce!... Czem mogę służyć?

— Najpierw pozwoli pan, że się przedstawię... Jestem hrabia X...

— Bardzo mi przyjemnie! Cóż pana hrabiego do nas sprowadza?

— Wojna, panie... Wojna!...

— Niestety, nie mogę służyć bliższemi informacyami, nasz specyalny sprawozdawca wojenny jeszcze nie wrócił z pola bitwy... Przychodzi do redakcyi z zasady dopiero koło dziesiątej..

— Ja też nie jestem ciekawy, co słychać na polu bitwy, bo o tem mogę się dowiedzieć z telegramów, zaintrygował mnie jednak los księcia Monaco, o którym pan wspominał w poprzedniej kronice... Więc w rzeczywistości wypowiedział nam wojnę?

— Podobno! Dla pewności radziłbym jednak zwrócić się do ekscellencyi Berchtolda z zapytaniem. Moje informacye mogą być błędne...

— Dobrze, proszę pana, właśnie jadę do Wiednia! A czy nie wie pan, gdzie obecnie przebywa książę Monaco?

— Nie mogę służyć! W każdym razie albo u siebie w kraju, albo gdzieindziej!

— A czy pan nie zna bliższego jego adresu?

— Niestety! Mogę jednak zwrócić się do naszego korespondenta w Monte Carlo z zapytaniem...

— Bardzo byłbym wdzięczny... A jak prędko mogłaby nadejść odpowiedź?

— Dopiero po wojnie...

— Hm!... Tak długo nie mogę czekać!... Szkoda, że panowie nie wiedzą... Ja z księciem Monaco znam się bardzo dobrze... Straciłem tam cały... to jest, chciałem powiedzieć... spędziłem przy jego boku bardzo miłe chwile... Żegnam pana!

— Najniższy sługa pana hrabiego dobrodzieja! Proszę zostawić adres, jeśli się czegoś pewnego dowiem, nie omieszkam donieść...

Z kolei zjawił się w pokoju redakcyjnym obywatel z Krowodrzy z prośbą o informacyę, jak wygląda czterdziestodwucentymetrowy moździerz i zapytaniem, czy Redakcya nie posiada takiego okazu, by mógł go oglądnąć, wreszcie pewna dama, chcąca się dowiedzieć, jak najlepiej kisić kapustę, by wytrzymała czas oblężenia. Ktoś jej powiedział, że Kraków może się przez dziesięć lat opierać wrogowi, gospodarna niewiasta chciałaby więc zaopatrzyć się na ten okres czasu w odpowiednie zapasy, zwłaszcza zaś kapusty, gdyż tak ona, jak i mąż i cała rodzina przepada za tym smakołykiem.

Obywatelowi wytłumaczyłem, że moździerz to armata, która robi tyle hałasu, co nie przymierzając kłótliwa żona lub teściowa, spustoszenia zaś jeszcze większe, niż mąż, wracający pod dobrą datą w progi domowego ogniska.

Zdaje mi się, że uwierzył mym słowom, pokiwał bowiem smutnie głową i odszedł, nie pytając więcej.

Trudniejsza sprawa była z niewiastą. Przeprosiłem ją, iż na kiszeniu kapusty zupełnie się nie znam, nie posiadamy też w redakcyi odpowiedniego referenta, co ją ogromnie zdziwiło. Odesłałem ją do „Praktycznych przepisów gospodarskich“, wydanych przez ś. p. Lucynę Ćwierciakiewiczową, jedyną z piszących kobiet, o której mogę z czystem sumieniem powiedzieć, że jej dzieła mi smakują.

Tak zeszedł mi czas do samego obiadu. Już wychodziłem z lokalu redakcyjnego, by odpocząć „pod Palmą“, lub rozmyślać „pod Obrazem“, na progu jeszcze zatrzymał mnie jakiś strategik, obładowany mapami i książkami, prosząc o wyrażenie opinii, (rzecz prosta, dodał „światłej“) co do kwestyi, czy szrapnele siałyby takie spustoszenie, gdyby były wypełnione piaskiem, nie ekrazytem.

Doradziłem mu, by się zgłosił do arsenału, a tam mu wszystko fachowo wytłumaczą.

Powrotna droga nie różniła się niczem od tej, jaką zrobiłem idąc w tą stronę, odetchnąłem dopiero, a przynajmniej sądziłem, że odetchnę, gdy się znalazłem w sklepionym lokalu w Śródmieściu i zażądałem, ze względu na panujące w mieście epidemie żołądkowe, kieliszka gorzkiej...

Niestety, Władzio, który jest także politykiem, najpierw zapytał:

— A co z wojną?...

— Powiedz mi ty — odparłem — co jest z pilznerem, a ja ci powiem, co jest z wojną!

— Oho!... Wyszedł!

— Niema pilznera, to niema i wojny! Cóż ty sobie smyku myślisz, że ja będę politykował o suchem gardle?...

Drugi raz cios taki ugodził w nasze serca... miastu, dzięki wojnie i wzmożonemu skutkiem tego pragnieniu, zabrakło znowu pilznera, a bez niego cała polityka nie warta jest funta kłaków. Przy szklance szprycera lub wody sodowej nikt chyba nie będzie robił kombinacyj strategicznych i politycznych! Niech się więc Szanowny Czytelnik nie dziwi, że kronikarza ogarnia czarna rozpacz, wobec czego, zamykając opis swych kłopotów urzędowych, powrócę zaraz do osobistych.

Przedewszystkiem, więc namordowałem się dość zanim mi się udało wydębić sto koron w gotowiźnie, które złożyłem do rąk mej czcigodnej połowicy na należyte zaprowiantowanie się na czas wojenny.

Ile mnie to kosztowało gonitwy, wie jeden tylko Pan Bóg i ja. Przekonałem się przy tej sposobności, iż, pomimo dość pokaźnego żywota, mam wybitne kwalifikacye na szybkobiegacza i kto wie, czy po wojnie nie zacznę się publicznie popisywać.

Ponieważ jestem człowiekiem nadewszystko lubiącym porządek, choć wiem, że moja czcigodna magnifika jest osobą bardzo gospodarną, zażądałem od niej zdania rachunku z owych pieniędzy.

— I owszem! — odpowiedziała — Przedewszystkiem więc kupiłam sobie żakiet jesienny...

— Kobieto! Czyś oszalała? — zawołałem z rozpaczą — A cóż będziemy jeść?

— Cierpliwości! Zaraz się dowiesz!... Potem sprawiłam kapelusz Józi, Zuzi i Fruzi (tak się nazywają moje trzy pociechy)... Ze względu na ogłoszenie magistratu, iż należy zachowywać nadzwyczajną czystość, zaopatrzyłam się ponadto w trzy kilogramy pachnących mydełek francuskich... Jedno nawet ty dostaniesz!

— A jedzenie?

— Zaraz! Zaraz!... Co do prowiantów, to mamy już dwa pudełka pomadek, kilo czekolady, naturalnie od Piaseckiego, kilo herbatników i dużą flaszkę ekstraktu Maggi'ego. Nie zapomniałam naturalnie i o wykluwaczach, mam ich całą paczkę. Wobec tego możemy się śmiać nawet z oblężenia, głód nam nic nie zrobi! Prawda, jaka jestem gospodarna?

Zamiast odpowiedzi jęknąłem tylko cicho i zdaję się w zupełności na łaskę Opatrzności... Jeśli tymczasem nie skończę żywota (naturalnie z powodu tej gospodarności mojej kochanej żoneczki głodową śmiercią...) będę żyć, czego i Szanownym Czytelnikom życzę z całego serca!

Na własną rękę zaopatrzyłem się w każdym razie w potężną flachę jeneralówki, to znakomita i wypróbowana trucizna na robaka!

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

17

Budowa mojego więzienia wskazywała pewną cywilizacyę. Płyty szklane rżnięte i dość wielkich rozmiarów, wykonane były artystycznie i starannie, jakgdyby w naszych fabrykach. Ale najwięcej intrygowała mnie miseczka napełniona krwią świeżą, którą umieszczono obok mnie. Czy chciano mnie zmusić do jej wypicia, lub też miał to być symbol, losu jaki mnie czekał?

I czy myślano mnie długi czas więzić w tej klatce symetrycznej, gdzie z pewnością wkrótce oszaleć by mi przyszło?

Siedziałem na ziemi, bo żadnego innego w celi nie było sprzętu i starałem się koniecznie skupić przytomność umysłu.

Napróżno usiłowałem się domyślić, w jaki sposób tu się znalazłem. Jak już wspomniałem, w pamięci mojej panował bezład zupełny; od śmierci mojej małej Eeoys, o której ciągle myślałem z wielkim bólem serca, wszystko w mózgu moim pokryte było mgłą, której usiłowania moje nie potrafiły przebić.

Zniechęcony, zaprzestałem myśleć o rzeczach przeszłych, starając się bez straty czasu wynaleźć możność ucieczki. Przychodziło mi to z wielką trudnością, bo byłem ciągle jeszcze pod wpływem jakiegoś ciężkiego oszołomienia, jak gdyby po zażyciu trującego narkotyku. Przypisywałem ten stan uporczywemu zapachowi tych przeklętych roślin, ale pomału ociężałość ta ustępować zaczęła pod wpływem ożywczego powietrza, napływającego do mojej celi.

Mogłem już powstać i obejść kilkakrotnie moje więzienie, mające długości i szerokości około czterech metrów. Ale jakkolwiek badałem skrupalatnie każdą cząstkę ścian kryształowych, nie mogłem nigdzie wykryć najmniejszego śladu otworu, drzwi, okien, lub zapadni ukrytej.

Sciany jednolite, a matowe szkło nie mogło ukryć żadnego znaku.

A przecież musiałem wejść tutaj jakimś otworem. Zbadałem dokładnie podłogę, która była również szklana; wszędzie odpowiadał mi ten sam dźwięk stłumiony, wskazujący, że podemną nie było żadnej próżni.

Byłem w położeniu owada, zamkniętego w papierowem pudełku, bezsilny i pokonany, a nie miałem, jak one, możności wywiercenia sobie szczypcami choćby najmniejszego ujścia. Wpadłem wkońcu na myśl, że może uda mi się rozbić w którem miejscu szkło ściany, lub przeciąć je, posługując się miseczką, również szklaną.

Doprowadziłem tylko do tego, że miseczka roztrzaskała się w drobne kawałki, a ściany potężnej grubości i siły nie zostały nawet uszkodzone. Do tego wszystkiego jeszcze pokaleczyłem sobie boleśnie ręce.

Byłem wściekły i zarazem upokorzony w najwyższym stopniu. Moja miłość własna, doświadczonego inżyniera i badacza, ucierpiała głęboko, zgnębiona przekonaniem, że marna tafla szklana, może się oprzeć mojej sile.

Głód, który coraz natarczywiej dawał mi się we znaki, pogarszał tylko moje zdenerwowanie. Ale napróżno rozmyślałem i kombinowałem, nie mogłem wpaść na jakąś myśl zbawienną. Usiadłem więc znowu na ziemi i tak przepędziłem ze dwie godziny, nie myśląc już, nie czując, jak zwierzę tropione.

Musiałem widocznie zasnąć, nie zdając sobie z tego sprawy, bo po jakimś czasie nagła jasność i energia zrodziła się w moim umyśle.

Przypomniałem sobie o starem doświadczeniu, jakiem nas zabawiał nasz profesor fizyki w piątej klasie i do którego zacny człowiek przywiązywał wielką wagę.

„Sposób krajania szkła bez pomocy dyamentu".

Odetchnąłem z ulgą na to przypomnienie z dziecinnych lat! I oto, jak postąpiłem; zwinąłem w zbity kłębek róg mojej sukni pierzastej i zacząłem energicznie nacierać jedną część ściany kryształowej. Po piętnastu minutach takiej pracy powierzchnia szkła rozgrzała się mocno, a suknia moja o mało nie buchnęła ogniem.

Wtedy rzuciłem szybko kilka kropli krwi na to miejsce rozgrzane. Nastąpił syk, potem lekki trzask. Nagłe oziębienie części rozpalonych wywołało lokalne uszkodzenie kryształu. Natychmiast zabrałem się do tej samej roboty w innem miejscu, potem jeszcze we dwóch innych, z tym samym dobrym skutkiem.

Pot dużemi kroplami spływał mi z czoła, ale z radością zauważyłem, że pęknięcie szkła rozciągało się na kilkadziesiąt centymetrów. Wystarczy teraz tylko pchnąć silnie, aby ta tafla wypadła na zewnętrzną stronę.

Nie spieszyłem się jednak z wykonaniem tego ostatecznego kroku, zatrzymany myślą, że może ostrożniej będzie doczekać się nocy.

Brzęk upadającego szkła mógł obudzić czujność strzegących mnie nieznanych ludzi, czy też potworów.

Ale równie dobrze wykryć mogli projektowany plan ucieczki, gdyby mi się spodobało teraz odwiedzić mnie w mojem więzieniu. Nie miałem więc wyboru; należało działać na los szczęścia.

Uderzyłem silnie kolanem o ścianę porysowaną, odłamany kawał upadł dość lekko, bez hałasu.

Do celi mojej powietrze i światło wpłynęło potokami.

Uszczęśliwiony tym nadspodziewanym rezultatem, ostrożnie, aby się nie pokaleczyć, wyślizgnąłem się otworem i znalazłem się na platformie tej samej wysokości co podłoga mojego więzienia. Właściwie znajdowałem się na szczycie gigantycznej budowli, rodzaju wieży, mającej około sześćdziesięciu metrów obwodu, zbudowanej z tego samego materyału, co moje więzienie.

Wnętrze tej wieży było puste, głęboki, ciemny dół rozciągał się pod mojemi stopami, tylko na brzegach mieściły się liczne cele, zupełnie podobne do mojej, w miarowych odstępach, przypominające otwory na wieżach kościelnych, służące za schronisko dla ptaków i nietoperzów.

Ogarnęła mnie ciekawość zbadania sposobu zamykania tych cel. Tak, jak już przypuszczałem, każda ściana rozsuwała się,ześlizgując się w wązkie wyżłobienie, a przytrzymana była jedyną zwyczajną zasówką z metalu czerwonego, błyszczącego, jak miedź. Przypominało to zupełnie rozsuwalne ściany klatek dzikich zwierząt w menażeryach.

Otworzyłem kilka takich klatek, sąsiadujących z moją, były puste, tylko na środku każdej z nich ujrzałem te same miseczki napełnione krwią.

W niektórych z nich krew była już wypróżniona, lub też skrzepła i zczerniała, ale ujrzałem kilka napełnionych do połowy, tak jak gdyby przed odejściem nieznany jakiś gość wypróżnił resztę.

Platforma, na której stałem, była pusta, niczem nie zabezpieczona, tak, że patrząc w próżnię, rozciągającą się pod mojemi stopami, doznawałem zawrotu głowy. Naliczyłem trzydzieści dziewięć pięter w kształcie kolumn niewielkich, każda innej barwy. Każdą z tych kolumn przegradzało wgłębienie ciemne, zupełnie równych rozmiarów i kształtów. Do trzydziestego dziewiątego piętra promienie słońca już nie dochodziły, w zalegającym jednak cieniu domyśleć się było można, że wznoszą się jeszcze wyżej.

Dolna i środkowa część tego monstrualnego ula oświetlona była jaskrawymi promieniami słońca, a z dołu z niezmierzonej próżni dochodził mnie dźwięk stłumionych głosów.

Z przerażeniem zastanawiałem się, że ta gigantyczna kryształowa wieża ciągnie się może w nieskończoność, aż do wnętrza samej planety i napróżno zastanawiałem się nad celem, do jakiego służyć mogły te głębokie kryjówki, gdzie można było zachować z łatwością setki tysięcy posągów.

Wszystkie kolumny miały tę samą formę; słupy były zaokrąglone, bez żadnych ozdób, tylko dwie kule u dołu i góry służyły za podstawę i kapitel.

Szkło kryształowe, z którego zrobione były, lśniło się tęczą kolorów, jak wielkie drogocenne kamienie.

Nie mogłem oderwać oczu od tego niezwykłego widoku, fosforyczny blask tych kolumn hypnotyzował mnie do tego stopnia, że z wysiłkiem skoczyłem w tył, aby się nie dać pociągnąć tajemniczej przepaści.

Nie mogłem sobie w żaden sposób wytłomaczyć istnienia tych dziwnych kryjówek; najprawdopodobniej znajdowałem się wobec jakichś katakumb nadpowietrznych lub obszernego cmentarzyska; każda z kryjówek zawierać musiała zabalsamowane lub też spopielone zwłoki Marsiana z dawnych lat. Jednakże wiele drobnych szczegółów zbijało to przypuszczenie. Olbrzymia ta arena nie posiadała wyglądu opuszczonych grobowców, gdzie chętnie rosną rośliny lubiące twarde podłoża starych ruin. Zabudowanie kryształowe posiadało czystość i połysk rzeczy nowych i dobrze utrzymanych.

Nie usiłowałem dłużej rozwiązywać tej dziwnej zagadki, którą przyszłość wytłomaczy mi sama, oderwałem się przemocą od fascynującego uroku zawrotnej przepaści i zwróciłem spojrzenie na pejzaż, który rozciągał się przedemną. Nigdy jeszcze oczy moje, przyzwyczajone do najcudniejszych widoków, nie oglądały czegoś podobnego.

Ciemno-fiołkowe morze o falach połyskujących różowo, jak kwiat jabłoni, szumiało łagodnie pod zębatą skałą, podobne do łanu rozkwitłych fiołków, zmięszanych z krzewami fantastycznie pokręconych korali.

Olbrzymie wgłębienia fiordów i wzgórza o formach dziwacznych, przypominające wyglądem jakieś gigantyczne przedpotopowe rośliny i zwierzęta, o jasno żółtym, żywym kolorycie, przeglądały się w spokojnej, zaledwie lekkiem drżeniem poruszanej fiołkowej toni.

Gdzieś w dali wznosiła się wysoka góra o ostrych szkarpach i smukłym wierzchołku, tonącym w rdzawych oparach. Był to pierwszy wulkan, jaki ujrzałem na Marsie.

Powiodłem spojrzeniem po wesołym pejzażu, występującym na pierwszym planie. Dwanaście kryształowych wież, podobnych do tej, na szczycie której się znajdowałem, wyrastało z głębi ciemnego morza, tworząc wyspę, grającą wszystkimi kolorami tęczy.

Zauważyłem, że na zewnątrz wieże te nie posiadały żadnego wyjścia; był to ten sam rząd kolumn i arkad, lecz bez głębokich kryjówek.

Ich struktura przypominała mi gdzieś utrwalone szkice z wieży Babel, takie, jakie się spotyka w starożytnych bibliach Royamonta.

Wszystko to, co mnie otaczało, było istną czarodziejską, fantastyczną bajką.

Wieża, na której przebywałem, wznosiła się tak, jak inne, ponad morzem i nie mogłem zrozumieć, jakim sposobem się do niej dostać mogłem.

Zapragnąłem przebiedz całą platformę; po przeciwległej stronie stał jeszcze rząd wież kryształowych, a w dali widniała ciemna plama wód, nad którymi unosił się błękitnawy opar. Domyśliłem się, że to może być ląd. Byłem ciągle pod wrażeniem tego bajecznego, pogodnego widoku. Gdyby nie głód, który męczył mnie coraz dotkliwiej, zaniechałbym wszelkiej myśli ucieczki z tej zaczarowanej krainy. Cisza i spokój niczem niezmącony otaczał mnie dokoła; nie widziałem ani nie słyszałem nikogo, nikt mnie nie poszukiwał, nie czuwał nademną.

Z westchnieniem szczerego żalu oderwałem się od tej kontemplacyi i chwilowego zapamiętania się, aby powrócić do rzeczywistości i rozpocząć dalszą walkę o życie i wiedzę.

Raz jeszcze przebiegłem dokoła platformę; rozumując logicznie, przypuszczałem, że aby dostać się na niższe piętra istnieć tu musiały wewnętrzne schody, drabina, lub rodzaj jakiejś windy.

Ale myliłem się z gruntu w tem przypuszczeniu i powierzchnia platformy gładka i równa zdawała się być ulana z jednej sztuki. Jeżeli wogóle istniały jakieś ukryte zapadnie, były one urządzone w sposób bardzo misterny i przebiegły, nieuchwytny dla oka ludzkiego.

Byłem trochę zawiedziony w tych poszukiwaniach, ale bynajmniej nie zniechęcony do dalszych usiłowań. Jednak należało wykorzystać jeszcze resztę energii i sił, które słabnąć zaczynały pod naciskiem głodu i pragnienia. Myślałem, że jeżeli uda mi się dostać do jednej z kryjówek otwierających się zaraz pod platformą, dojdę gdzieśkolwiek, bo przecież te ciemne klatki musiały mieć wyjście jakieś. Cała sztuka polegała na tem, aby się do nich dostać. Niedługo szukałem sposobu.

Wyjąłem z nam jedną taflę szklaną, zamykającą celę, rozbiłem ją i wyrwałem zawias z czerwonego metalu.

Byłem więc w posiadaniu sztaby silnej, długości kilkunastu centymetrów, która mi posłużyła do wyżłobienia dołu dość głębokiego w podłodze kryształowej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Madejskiego